



№ 33.

Prenumerata w Warszawie:
roczn rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 15 sierpnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru.

Diabeł (więsz z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd teatralny. — Przegląd polityki zagranicznej. — Wspomnienie z Ojcowa (z czterema drzeworytami). — Uroczystość winobranców w Vevay. — Brandt i Gryglewski (z drzew.). — Szachy. — Rebus. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). — Biały gołąb (więsz). — Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 r. (dal. ciąg). — O podaniach i klechdach ludu z okolicy Warszawy, przez Mściława Kamińskiego (dokończenie.)

DIABEŁ.

Dawniej diabeł inny bywał,
Czarny, brzydki — straszły
[rogiem,
Na kopytach wyskakiwał,
Przed kościelnym ginął pro-
[giem.

Z takim diabłem łatwa
[sprawa,
Krzyż na piersi, jedno „wie-
[rzę”,
A przepadał jak kurzawa.
Inneć były też pacierze.

Lecz dzisiejszy jakże różny,
Jaki ładny, wystrojony!...
I przyjemny i usłużny,
Czuły, wesół i uczony!

O, dzisiejszy pyszny aktor,
Toż go spotkasz w każdej
[stronie,
To polityk, lub redaktor,
Albo miły gość w salonie.

Dawniej dziury wiercił
[w moście,
Dzisiaj chodzi w dzień bez-
[piecznie



I nie jada mięsa w poście,
O postępie gada wiecznie.

Nie rozpoznasz jegomości,
Raz jest dandys, znów ko-
[bieta;
Prawi często o miłości,
I o duchu, jak poeta.

Ekonomią zna wybornie,
A ztąd wrogiem jest jałmu-
[żny;
Spuszcza oczy w dół po-
[kornie,
Mówiąc: świat mi szczęście
[dłużny.

Wszystkich zalet nie wy-
[liczę,
Ale myślę, że choć możny,
Toć nań znajdzie każdy bi-
[cze,
Kto pocziwy i ostrożny.

Karol Pieńkowski.

Kronika
tygodniowa.

Ponieważ ani topografia
ani opisy raju nie istnieją,
ludzie przeto różnolite two-
rzą sobie wyobrażenia o E-
denie, według własnej swo-
jiej indywidualności.

Założyłbym się że każdy
obecnie Warszawianin wy-
obraża sobie raj ziemski ja-
ko zimną kąpiel, znajdują-
cą się ciągle pod ręką albo
raczej pod nogą, i otwiera-
jącą wilgotne swoje objęcia
dla ochłodzenia się w nich.

Wiśła jest teraz miejscem
najmilszych uciech tutej-
szych mieszkańców, a tak

zwane letnie łazienki przybytkami rozkoszy. Szkoda tylko że te przybytki takie brudne i niewygodne...

Po prawdzie, moda letnich łazienek od niedawnego dopiero czasu weszła u nas w powszechniejsze użycie. Dawniej wszystko co żyło chodziło się kąpać na galary od Pragi do Łądu umocowane, a zwolennicy kąpeli galarowej twierdzili, i dość racjonalnie może, iż tam jest i lepiej, i taniej, i wygodniej. Przynajmniej kąpiący się czują grunt pod sobą, mogą się raczyć, używać wszelkiej wodnej agitacji, tak potrzebnej w zimnej kąpeli, zamiast siedzieć zamknięci w klatkach, gdzie nieraz, z powodu natłoku, brak miejsca do swobodnych ruchów.

Dopiero po owę słynną burzę, która dwadzieścia kilka lat temu zaskoczyła nagle kąpiących się, galary porwała ze sobą, kilka osób przyprawiła o śmierć, a inne znów wystawiła na to, że przez Pragę i most musiały uciekać w prawdziwie rajszych kostiumach, galary zaczęły tracić powoli na dawną wziętość. Nie dowierzano już im i przekładano łazienki letnie, które przymocowane po większej części od strony Warszawy, w razie wypadku nie narażają przynajmniej na tak długą i niedogodną podróż.

Kiedy mowa o tych miejscach kąpeli, przychodzi nam żałować, że wypadek jaki w zeszłym roku dotknął wzorowo urządzone łazienki p. Pecqa i spółki, pozbawił Warszawian rzeczywistej dogodności, o której zastąpieniu nikt dotąd nie pomyślał.

Niestety! nawet szczątki tych łazienek piraci nadwiślańscy rozerwali z godną lepszą sprawą skwapliwość, a dziś musimy się zadowalać nawpół zmurszałymi budami, które przynajmniej posiadają ten przymiot, że nie kłamią i niezgrabną powierzchownością, odpowiadają wewnętrznym niewygodom.

Doprawdy, czyliż im nie wstyd znajdować się w sąsiedztwie tak pięknego i okazałego mostu? Ustawione dawniej wzdłuż owę łyżwowę budowę, co każdemu większemu parciu lodów ustępować musiała, harmonizowały przynajmniej z nią odwiecznością swoją; ale dzisiaj stanowią jakby plamę na pięknym widoku, który się rozslania oczom patrzących z poza balustrady mostowej.

Niestety! jedna sztuka obecnie u nas w wielkim jest zaniedbaniu.

Chcemy mówić o kaligrafii.

W ogóle obecne pokolenie nie odznacza się zbyt dużą foremnością pisma; o dobrego nawet przepisywacza bardzo trudno, — choć tu nie idzie już wcale o piękne i ozdobne, ale tylko o wyraźne pisanie.

Pochodzi to ztąd głównie, że młodzież, w szkołach wyższych zwłaszcza, przyzwyczajając się musi do nader szybkiego notowania. Ponieważ zaś stenografia nie jest u nas jeszcze rozpowszechniona, utworzyło się mnóstwo indywidualnych skracań pisma, a że przyzwyczajenie staje się drugą naturą, skrócenia te i zmiany, raz już wprowadzone w pismo, pozostają w niem nazawsze.

Zdawałoby się jednak że prędkie pisanie nie wyklucza bynajmniej kaligraficznego formowania liter, a za dowód stawić możemy Aleksandra Dumasa (ojca) we Francji i u nas Zygmunta Kaczkowskiego.

Dumas, który pisze od czterech do sześciu tomów miesięcznie, a wszystko własnoręcznie, choćby nawet pomysł brał od kogoś, potrzebuje materialnie od stu pięćdziesięciu do dwustu wierszy wygotować w godzinę, a te wiersze stawiają się regularnie jedne pod drugimi, foremnie, wyraźnie, bez poprawek, tak że miło jest patrzeć na rękopis, a zecerowie błogosławią autora.

Pióro lata z niesłychaną szybkością po papierze, ale przyzwyczało się latać regularnie, uważnie, wykończenie; więc raz włożone do téj sztuki, czyni to bez żadnego przymusu.

Kaczkowski, również bardzo płodny pisarz, odznacza się szczególnie pięknym charakterem pisma. Literka w literkę wszystko z pod jego ręki wychodzi jak u najwprawniejszego kaligrafa. Niema tam ani przekręślenia, ani poprawki, a jeżeli autorowi przyjdzie już konieczne co poprawić lub przekręślić, to drze arkusz, choćby zupełnie prawie ukończony, i rozpoczyna nanowo.

Na każdej stronicy równa liczba wierszy, w każdym nawet wierszu taż sama prawie ilość liter. A je-

dnak, przy tak starannym pisaniu, Kaczkowski kończy tom za dwa tygodnie i nie utrudza się bardzo; a tom u niego, to nie żarty, składa się bowiem z trzystu przeszło stronic.

Ale powtarzam, autorowie ci są wyjątkami, a ogół coraz gorzej pisze.

Nawet niewiadomo z kąd i dlaczego u wielu młodych zagnieździł się przesąd, że człowiek rozumny i wykształcony nie ma do tego czasu, ponieważ myśl rozsądza formę.

Nam się zdaje że jedno drugiemu nic a nic nie przeszkadza.

Kilkadziesiąt lat temu biuro zostające pod dyktando generała R* służyło z dobrych kaligrafów. Generał, pisząc sam bardzo pięknie, lubował się w ozdobnym piśmie, a podwyższaniem pensji i częstymi gratyfikacjami zachęcał podwładnych do staranności. Ale też najmniejsza plamka, poprawka lub skrobanka w wielki gniew go wprowadzała...

Trzeba u niego było przyzwyczajać się do porządku, bo robota na czas musiała być skończoną; więc gdy kto omylił się, chociażby w literze, nocy nie przespał, a musiał wygotować nanowo robotę.

Generał, biorąc papier do ręki, stawiał go przedewszystkiem pod światło, żeby się przekonać czy niema na nim jakiej skrobanki.

Pomiędzy pracującymi w tém biurze odznaczał się pięknocią pisma, a głównie ozdób kaligraficznych, niejaki Tomaszewski, bardzo lubiony przez zwierzchnika, który mu najtrudniejsze i potrzebujące największej staranności roboty powierzał. Jeden tylko Tomaszewski posiadał tajemnicę tak zręcznego urządzania poprawek, jeżeli mu się jakie zdarzyły, że nikt, nawet generał, odgadnąć nie mógł, która litera poprawieniu uległa. A że pisał prędko, starczyło więc mu czasu i na dawanie lekcji po mieście. Słynął też podówczas jako jeden z najlepszych nauczycieli kaligrafii.

Zdarzyło się tedy że pewien bardzo majątny młody człowiek na dokończeniu edukacji, postanowił brać lekcje kaligrafii od Tomaszewskiego, szło mu bowiem o poprawienie pisma, które nie odznaczało się zbyt dużą foremnością.

A w tymże samym czasie pobięrał on i kilka innych lekcji. Gry na fortepianie, która zdawała się (tak jak i teraz mniej więcej) nieodłączną od edukacji majątnych młodzieży, uczył go Ernemann, słynny pod owe czasy muzyk.

Widocznie jednak talentu do fortepianu i zdolności do pięknego pisania nieba odmówiły młodzieńcowi, po kilku bowiem latach nauki, potrafił zaledwie wygrać jakieś stare rondo Czernego, a w charakterze pisma, pomimo starań Tomaszewskiego, nie okazała się żadna poprawa.

Kiedy więc nadeszła chwila ukończenia nauk, a rodzice młodzieńca chcieli ją obchodzić uroczystie, przy wielkim zebraniu krewnych i przyjaciół domu, jeden z tych ostatnich, improwizator (improwizatorów nigdy nie brakło w Warszawie) wypalił mówkę do bohatera tego dnia uroczystego.

Wychodzisz w świat Karolku, a wiadomo przecie, że ludziom wykształconym dobrze jest na świecie. Naukę przetrawiłeś od deski do deski, Wiész co jedli Rzymianie, gdzie mieszkali Scyci. Niech się każdy profesor takim uczniem szczyci, Bo *piszesz jak Ernemann, grasz jak Tomaszewski.*

Dla dobrego zrozumienia tych wierszy trzeba dodać, że Ernemann pisał jak to powiadają jak kura, Tomaszewski zaś miał formalną antypatyą do muzyki.

Wiadomo już czytelnikom z pism peryodycznych, że na plan do wybudowania kościoła we wsi Drodzowie powiecie łomżyńskim ogłoszony został konkurs. Komitet trudniący się budową tego kościoła, rozporządzając bardzo szczupłymi funduszami, liczył na dobrą wolę i miłość sztuki panów budowniczych naszych. Wynagrodzenie oznaczone za plan mający być za najlepszy uznany, żadną miarą nie mogło odpowiadać wartości pracy, tém bardziej że ściśle

oznaczone warunki budowy, w których względy ekonomiczne, jakich się koniecznie trzymać musiano główną grały rolę, zdawały jeszcze trudność zadania.

Otóż pomimo okoliczności które mogłyby wpłynąć na zmniejszenie ilości planów konkursowych, liczba ich nadspodziewanie okazała się obfitą. Dostarczono ich niemało w rozmaitych stylach: gotyckim, romańskim, barocco i mieszanym, a wiele z nich odznacza się prawdziwą wartością.

Nie uprzedzając wyroku sędziów, nie będziemy się rozpisywać o wartości tych projektów po szczegółów; to jednak pewna, że jest w czém wybierać, a z tych nawet które pozostaną po skutecznym wyborze, będzie można korzystać w razie danym, boć niejedyn wiejski kościółek u nas domaga się nie już odnowienia, ale odbudowania z gruntu.

Zte języki twierdzą, że moralność zaginęła na świecie, że ludzie nie umieją dotrzymać słowa, że...

A jednak ja przeczę temu.

Na dowód opowiem wam wypadek w dwóch aktach. Pierwszy akt odbył się kilkanaście lat temu. Pan J* wracał do domu późno ulicą odludną, na którą jeszcze, że zmodyfikujemy tu wiersz jednej z dum Niemcewicza —

Promień gazowy nigdy nie dochodził.

Nagle z poza domu wyskoczyła czarna jakaś postać, i według zwyczaju rzeźmieszków ulicznych, napastnik śmiałą ręką sięgnął do zegarka.

Ale pan J. nie miał wcale usposobienia na dobroduszną ofiarę. Był to człowiek o wielkiej muskularnej sile, wiedział o tém i ufał sobie.

Więc niewiele myśląc, schwycił złodzieja za gardło i pomimo oporu i przyduszonych jęków, powłócił pod latarnię olejową.

— A... to ty! zawołał, przypatrzwszy się dobrze rysom złodzieja przez strach i ból wykrzywionym.

— Tak, to ja, wyjąknął tamten, bo jednocześnie poznał pana J., od którego rok temu uciekł był ze służby, — tak to ja, biedny Karol.

— Widzisz hultaju, widzisz, na co ci przyszło! Krzywda ludzka nigdy w korzyść nie pójdzie. Ukradłeś mi z biurka pięćset złotych i drapałeś, a kryłeś się dobrze. Ale złapałem cię ptaszku i...

— O panie! gdybym wiedział że to pan...

— Tak, wierzę że nie napadłbyś na mnie, bo już doświadczyłeś mojej ręki; ale tu nie o osobę, tylko o rzecz idzie. Jutro zapoznasz się z sądem.

— Niech pan mi wybaczy! zawołał złodziej, który zwolniony z duszącego go uścisku, rzucił się do nóg dawnemu swojemu panu, — niech pan mi wybaczy! Jestem biedny, bardzo biedny; byłem wtedy w koniecznej potrzebie, matka mi umierała...

— A dzisiaj zapewne chciałeś ukraść zegarek, żeby zamówić nabożeństwo za jęj duszę.

— Wybacz mi pan, a nie pożałujesz tego. Mogę jeszcze być użytecznym i pocziwym człowiekiem. Wierzę mi pan, przekonasz się o tém. To była chwila obłąkania!...

I płacząc ścisnął go za nogi.

Pan J. namyślał się chwilę.

— No... rzekł, wiem że jesteś sprytny, umiesz nawet czytać i pisać, więc gdybyś chciał tylko... Ale pamiętaj, staw się na słowie, w przeciwnym zaś razie strzeż się popaść drugi raz w moje ręce.

To powiedziałwszy, odwrócił się i poszedł.

Minęło lat kilka, a pan J. ani zasłyszał o swoim niewiernym lokaju. Aż niedawno otrzymał list, z załączeniem pięciuset złotych.

List był następujący.

„Mówiłem panu, że się poprawię i dotrzymuję słowa. Odsyłam skradzione złotych pięćset, które mi ciążyły na sumieniu. Nie uwierz pan ile poświęceń kosztował mnie zwrot téj sumy: trzeba było popełnić z wielkim narażeniem się trzy kradzieże uliczne i dwa razy wyłamywać zamki. Ale przynajmniej dotrzymałem obietnicy, i sam pan teraz przekonaj się może, że ziarno które rzuciłeś na dobry grunt padło.

Wdzięczny do śmierci.“

X.

Ogródki wszystkie bawią się obecnie w przedstawienia benefisowe. Tych benefisów sypie się jak grad. Wprawdzie nazwisko często zupełnie nieznanie publiczności, ale kiedy benefisant, to pewnie już *zasłużony*; więc każdy śpieszy kupować bilety.

To tylko szczęście, że bukiety teraz kosztują niewiele. Publiczność też ucześniejsza na te przedstawienia, nie szczędzi tych kilkugroszowych oznak zadowolenia. Zdarzyło się nawet że na jednym z takich benefisów przyniesiono kosz z kwiatami i artystka jako niespodziankę rozrzuciła te kwiaty między publiczność. Widzowie skorzystali z tak dobrej sposobności, i po chwili zwrócili artystce kwiaty, które tym razem nie już nie kosztowały.

Zdarza się także iż kwiaty rzucone przez publiczność, wracają do kwiaciarek, sprzedają się znowu i spadają jak deszcz na scenę. Więc bywa nieraz że jedne i te same bukiety odbywają tę wędrówkę po kilka razy na wieczór. Jest to rzecz arcyzabawna, chociaż dla wtajemniczonych w ten drobny han-delek komiczna potrosze.

* * *

O przedstawieniu komedii Aleksandra Dumasa (syna) pod tytułem „Pojęcia pani Aubray“ damy w przyszłym tygodniu osobne sprawozdanie. Tutaj tylko zaznaczyć nam wypada, że sztuka ta na scenie naszej usprawiedliwiła nadzieje jakie rokować sobie można było po niej, ze względu na rozgłos nazwiska autora i powodzenie jakie uzyskała w Paryżu. Należała ona nowe tory dla autorów dramatycznych, a pisząc ją, Dumas pragnął głównie dowieść, że pisanie tak zwanych sztuk dla sztuki jest rzeczą płonną i na dzisiejsze czasy conajmniej bezużyteczną. Myśli te zresztą autor „Pojęć pani Aubray“ usprawiedliwia w przedmowie, która jest jakby komentarzem do tej komedii drukiem ogłoszonej.

Oprócz kilku nowości, które pomimo nieznośnego upału reżyserya teatru z bohaterstwem godnym lepszego losu przysposabia dla publiczności warszawskiej, otrzymujemy wiadomość iż dramat wiernym Floryana „Livia Quintilla“, w której główną rolę ma grać pani Palińska, za kilka tygodni wyjdzie już na światło... gazowe.

Królikowski ma także wkrótce wystąpić w innym obrazku dramatycznym, pod tytułem „Ostatnie chwile Kopernika.“

Przegląd teatralny.

Teatr Rozmaitości: „Koniec dzieła chwali“, operetka w 1-ym akcie. Muzyka Wekerlina, tekst księcia de Morny.

Książę de Morny lubił się bawić w kompozycje dramatyczne. Ponieważ we Francji zwyczajem jest, że artyści teatru francuzkiego i Wielkiej opery grywają nietylko u dworu, ale nawet w salonach arystokracji rodowej i piętnej (obecnie opodatkowano na korzyść teatru wystąpienia ich w salonach), staje się to dogodnym polem do autorskich popisów dla wielkich panów, żadnych sławy dramatycznej.

Pomiędzy nimi książę de Morny miał prawdziwą namiętność do pisania drobnych sztuczek. Dwie czy trzy z nich przedstawiono na scenie, z bardzo miernym powodzeniem; ale w salonach, zwłaszcza u samego księcia, który wrzekomo zachowywał incognito, nie brakło na tłumie przyklaskującym. I recenzenci nawet mieli zawsze dobre słowo dla tych pańskich fantazji, które nikomu szkody nie przynosiły. Wmawiano w księcia że ma wielki talent dramatyczny, że gdyby nie posiadał milionowego majątku i nie miał całego prawie czasu zajętego czynnym udziałem w zarządzaniu kraju, mógłby zostać znakomitym komedjopisarzem.

Wmawiano w niego to wszystko, a on wierzył pochlebcom i z tych utworów niemalą sobie ciągnął chwałę.

Zresztą już przykład kardynała Richelieu dowodzi, jak łatwo w ludzi znakomych wmówić talent, którego nie posiadają wcale. Bo śladów tego talentu naprózno by kto uparł się szukać w librecie święto przedstawionej operetki.

Rzecz opiera się na pomyłce hrabianki. Bierze ona prostego wieśniaka za swojego narzeczonego, przypuszczając że umyślnie przywdział na siebie ten

kostium, żeby ją zaintrygował i wypróbować potrosze.

Ma to być położenie oryginalne i nadawałoby się rzeczywiście do scen dosyć śmiesznych, gdyby nie to, że obok zaintrygowania aktorki, publiczność od razu zostaje zawiadomiona o prawdziwej, a w dobrze urządzonej sztuce rzeczy powinny się dziać przeciwnie.

Muzyk ratował jak mógł jednostajność libretta, zestawieniem wieśniaczych prowincjonalnych pieśni, ze śpiewami salonowymi, z czego nawet wytwarzają się czasem dowcipne, a przynajmniej dobrze pomyslane i umiejętnie zastosowane ustępy.

Wiele nowego tam nie szukajcie, ale jest wdzięk, sumienność w robocie, a głównie ustrzeżenie się parodii i tego karykaturalnego rodzaju, który za sprawą Offenbacha i jego wiedeńskiego współzawodnika, w muzyce wszedł obecnie w modę i rozwił się po wszystkich prawie scenach.

Operetka ta idzie gładko, i chociaż na jeden akt i dwie osoby przydługa trochę, nie nuży jednak. Za główny przymiot uważać w niej można, że nie nastrojąc zbytecznej trudności artystom, dla słuchaczy jest bardzo przystępną.

Nie zadziwiliśmy się, ujrawszy na afiszu nazwisko pani Bakałowiczowej, pamiętamy bowiem iż artystka ta pierwsze kroki na scenie naszej stawiała w operze, a powodzenie jakie osiągnęła wówczas, wiernie jej służyło i w dalszym zawodzie scenicznym.

Pani Bakałowiczowa posiada głos choć nie bardzo silny ani rozległy, ale wdzięczny i wybornie umi go używać. Zresztą śpiewacze przychodzi tu w pomoc aktorka; przy takiej grze wszystko lepiej wydać się musi.

Za przykład możnaby postawić jej wymawianie wyrazów podczas śpiewu. Nic tu niema straconego, wszystko publiczność słyszy i rozumie. Sztuka to musi być niełatwa, gdy rzadko kiedy śpiewakom rozgłosnej nawet sławy osiągnąć ją dano.

Pan Kozieradzki do małej rolki jaka mu się dostała, stanął jako wytrawny na tém polu szermierz.

Tutaj, jak powiedzieliśmy, niemało na śpiewie, ale więcej jeszcze na grze zależy, a pan Kozieradzki i pod tym względem umiał wytworzyć dość pocieszną indywidualność, czego autor właśnie żądał po nim.

Wogóle całość wyszła zgodnie i okrągło, i opuściliśmy teatr z tém przekonaniem, że drobne operetki tego rodzaju mogą zyskać trwałe powodzenie na scenie Rozmaitości.

Wacław Szymanowski.

Przegląd polityki zagranicznej.

13 sierpnia.

Strzelcy niemieccy, narobiwszy wiele huków i wrzawy w starym naddunajskim grodzie, rozjechali się zadowoleni i z siebie i z pocziwych Wiedeńczyków, jak zawsze uprzejmych i gościnnych. Na tém jednakże zadowoleniu kończy się cała doniosłość historyczna tego wypadku i silnieby się ludzi ten, ktoby w uroczystościach strzeleckich upatrywać chciał zapowiedź jakiej ważnej w Niemczech a korzystnej dla Austrii zmiany. Dla historyka środek ciężkości niemieckiej leży w Berlinie i nigdy już do Wiednia nie powróci. Prusy zwyciężyły pod Sadową nie iglicówkami, lecz przewagą ducha, jednością, której Austrija różnolita mieć nie mogła i nie może. Ztąd wszystkie mowy jakie obecnie wygłaszane były w Wiedniu nie mają żadnej na przyszłość wagi. Pomijając obcych Niemców, nawet Austriacy, upojeni tak licznym zgromadzeniem, zapomnieli że stanowią w państwie austriackim nader nieliczną mniejszość. Przypomniał im to dopiero sam kanclerz Beust, uczyniwszy na ostatniej uczcie uwagę, że oprócz żywiołów niemieckich, Austrię stanowią inne jeszcze plemiona i że plemiona te są najważniejszą rękojmnią przyszłości. Jako dopełnienie, p. Beust dodał, że Austrija nie powinna się mieszać do spraw niemieckich i wyrzeka się polityki zemsty. Tak więc mowa p. Beusta podwójnego dopięła celu, zapewniła bowiem Węgrów i Słowian że uważani będą na równi z żywiołem niemieckim, i zaspokoila Prusy co do rzeczywistych (?) Austrii zamiarów. Bądź co bądź, uroczystość strzelecka nie podobała się w Berlinie, jako objaw opozycyjny, niezgodny z dążnością gabinetu berlińskiego w Niemczech. Ze stolicy pru-

skiej nadchodzą wiadomości pokojowe. Dowódca armii nad Menem, generał Vogel v. Falkenstein, otrzymał dymisy, a miejsce jego zajął generał Mannteufel, znany przeciwnik hr. Bismarcka i wielki stronnik Austrii. Dzienniki pruskie przewidują już nawet, że generał Mannteufel, były naczelnik gabinetu wojskowego króla Wilhelma, zajmie wkrótce miejsce hr. Bismarcka. Urzędowy Staatsanzeiger, który już raz przeczył aby nota p. Usedomo do Larmarmory miała być urzędową, dziś wraca jeszcze do tego przedmiotu i oświadcza, że wprawdzie rząd nie zgadza się z pewnymi wyrażeniami tej noty, ale ogólną jej treść zatwierdza. Z Frankfurtu donoszą że N. Cesarz Rossyjski, w drodze ku Szlangenbad, przejeżdżał przez Frankfurt w d. 11 b. m.

Po zamknięciu posiedzeń senatu i ciała prawodawczego, prasa francuzka znowu się oddała ulubionemu przez siebie tematowi wojny lub pokoju. Stronnicy wojny, nie wierząc w pokój, nie przestają siać obaw i oddziaływają tém silniej na lęklivych, że uzbrajanie się rządu francuzkiego i zagmatwane stosunki z zagranicą nie pozwalają widzieć jasno. Z drugiej strony prasa urzędowa, zbijając te pogłoski, nie wyświeta stanowiska Francji; ztąd gdy jedni mówią o pokoju, drudzy głoszą że wkrótce armia Ren przekroczy, że cesarz Napoleon przygotował już manifest do narodu, że w d. 15 b. m. wygłosi nader wojowniczą mowę i t. p. Wyznać należy, że przy tak uporczywym z obu stron obstawaniu przy swoim, trudno dopatrzeć rzeczywistego stanu rzeczy; tyle tylko pewno, że w ostatnich dniach pogłoski pokojowe przeważały nad wojennymi, znajdując niemałe w organach urzędowych poparcie. Z okazji przejazdu królowej Wiktorii przez Paryż, lord Stanley odwiedził margrabiego de Moustier i (według zapewnień Patrie, Etendard i France) odbył z nim naradę polityczną. Obaj ministrowie przez półtorę godziny badali stan wszystkich kwestyj europejskich i dojsć mieli do przekonania, że widoki pokojowe nader są wzmocnione. Cesarz Napoleon, wracając z Plombières, przejeżdżał przez Troyes i tam przywitany został mową przez mera, na którą odpowiedział, zachęcając do zajęć przemysłowych „gdyż nie w tej chwili nie zagraża pokojowi.“

Te więc i tym podobne wskazówki pokojowe nakazują wielką oględność w przyjmowaniu pogłosek i wiadomostek wojennych. Kwestya przymierzy z Belgią, Holandją i Szwajcaryą jest ciągle na porządku dziennym, i według zdania Gazety Krzyżowej, może być pomyslnym uwieńczona skutkiem, gdyż i Holandya i Belgia chętnie się z Francją w razie wojny złączą. Obecnie Journal de Paris powiada, iż starania francuzkie nie ograniczyły się do Danii, Belgii, Holandyi i Szwajcaryi, lecz i z Hiszpanią nastąpiło porozumienie. W rozwoju tej myśli dzienniki przypuszczają, że w razie wojny, Francya zażąda od Włoch neutralności i odda im Rzym w nagrodę, w razie zaś oporu Włochów, 40,000 Hiszpanów wkroczy na półwysep apeniński.

Podpisy na pożyczkę czterechset kilkudziesięciu milionów franków, doszły do bajecznej cyfry czterech miliardów. W Kochinchinie odosobniony oddział francuzki, w liczbie 25 ludzi, napadnięty został i wymordowany przez 1,000 Annamitów. Jakkolwiek sprawcy ukarani zostali, wypadek ten niemiłe wywarł wrażenie. Times angielski otrzymał telegram z Madrytu z d. 8 b. m. zbijający wszystkie pogłoski o ukazaniu się band zbrojnych w Aragonii. Wiadomość o ucieczce generała Zaballa i objęciu przezeń dowództwa nad powstańcami także była zmyśloną. Cesarz Napoleon przepędzi dzień 15 sierpnia w Paryżu, a 22 b. m. udaje się do obozu w Châlons, kędy są zapowiedziane wielkie manewra wojskowe.

Ostatnie depezesze. *Ems, 12 sierpnia.* Dziś nastąpi zjazd N. Cesarza Wszech Rosyi z królem pruskim.

Paryż, 13 sierpnia. Przegląd gwardyi narodowej odbędzie się w piątek lub niedzielę.

Paryż, 10 sierpnia. Redaktor pisma Lanterne dobrowolnie wyjechał do Brukselli. Nie wydano wcale rozkazu aresztowania go.

Belgrad, 11 sierpnia. Dobra księcia Aleksandra Karagiorgiewicza skonfiskowane. Książę aresztowany w Peszcie, ciężko zachorował.

Bukareszt, 12 sierpnia. Obie izby zbiorą się w d. 15 września.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. France. Jour. des Deb.)

WSPOMNIENIE Z OJCOWA.

Było to przed dwudziestu laty. Sierpień tak jak dziś dobiegał swój połowy; skwarne lato na schyłku wkrótce ustąpić miało pięknej naszej jesieni.

Wakacje na uniwersytecie krakowskim rozpoczynały się z końcem lipca. Jeden z kolegów jadący do Warszawy, zaproponował mi abym z nim jechał. Był to syn zamożnej dziedziczki z pogranicza, miał własną, nowiuteńką najdyczanekę i cztery przesłiczne siwki, któremi pragnął popisać się na warszawskim bruku; zabranie więc mnie nie przysparzało mu ani kosztów, ani zachodu.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak gorąco przyjąłem pomysł kolegi. Nigdy jeszcze nie byłem w żadnym mieście większym od Krakowa, a w młodocianych latach jakże człowiek pragnie wylecieć z rodzinnego gniazdka i pobujać po świecie! Jechać, byle tylko jechać, gdziekolwiek bądź, a cóż dopiero do Warszawy.

Dlatego też, wyrobiwszy sobie paszport, siedziałem jak na rozpalonych węglach, nie mogąc doczekać się dnia upragnionego wyjazdu. Koledzy jedni puścili się na pieszą wędrowkę w Tatry, inni na zwiędzanie kopalń węglowych i galmanowych w okręgu, inni nakoniec do Ojcowa, Pieskowej skały i Grodziska. Uporczywie odmówiłem nalegającym zaproszeniom, mając jechać do Warszawy.

Aż mi serce zabiło, gdy 15 sierpnia z rana, w sam dzień Wniebowzięcia, wszedł do mego pokoiku Skalmierzak, w nowiuteńką kerezyą przybrany, przyszedł nasz automedon, i w imieniu swego pana prosił, abym go natychmiast odwiedził.

Nie idę, ale pędzę na ulicę Szpitalną, przytrzymując w kieszeni paszport, ażeby przypadkiem gdzie nie uciekł. Przebiegam wschody, roztwieram drzwi i stoję przed Julkiem. Smutna jego twarz rodzi we mnie smutniejsze jeszcze przecucie. Przez chwilę staliśmy obydwoj, patrząc na siebie w milczeniu. Nakoniec przerwał je Julek, mówiąc:

— Moja matka umarła.

Zdarzenie to położyło kres zamierzonej podróży. Przez parę godzin pocieszałem Julka i zrozpaczy zamiast iść na obiad, położyłem się spać.

Była godzina czwarta kiedy się przebudziłem. Przypomnienie że już nie pojedę do Warszawy, popsuło mi zupełnie humor. Postanowiłem nigdzie nie wychodzić i z nuddów wziąłem książkę do czytania. Był to „Kraków i jego okolice“ Ambrożego Grabowskiego. Za otwarciem ukazał się nadpis rozdziałku: „Ojców, Grodzisko, Pieskowa skała.“

Paszport w kieszeni, przedcudowna sposobność zwiędzenia tych miejsc uroczych; trzeba tylko obliczyć się z kasą. Niestety, zawierała ledwo 5 złp.

Któżby uwierzył, iż z tak lichą kwotą można się puszczać na trzydniową wycieczkę, na przechadzkę sześciu mil przeszło tam i napowrót? Lecz w dwudziestu latach nie zważa się na podobne zawady, o pięciu złotych człowiek gotów się puścić na koniec świata. W pół godziny potem byłem na drodze do Ojco-

wa. Leciuchny tłumoczek na plecach, obejmujący okrywkę i parę sztuk bielizny, laska w ręku i woreczek ulżony małym wydatkiem na przekąskę, również mieszczącą się w tłumoczku, oto całe zasoby

Już Prądnik (wioska) i wieś Tonie, słynna wzorowym na cały okręg krakowski gospodarstwem śp. generała Paszkowskiego, pozostały za mną; niedaleko od Szyc, komory królestwa, opodal drogi ujrzałem ognisko. Przy niem siedziało kilka ogorzalych postaci, z kędzierzawym, czarnym włosiem i wcale nie w schludnych odzieżkach. Na mój widok troje lub czworo małych dzieci, nieprzwyyczajonych jak się zdawało do noszenia odzieży, obskoczyło mnie w koło, naprzykrzając się przeraźliwym głosem o grosik. Byli to Cyganie.

Podczas kiedy opędałem się natrętym bębnom, przybliżyła się stara Cyganica i rzekła:

— Nie odpędzajcie ich, panoczku, toć to małe i głodne. Chcecie je czem wesprzeć, to wesprzyjcie, a nie, toć trudno, przymuszać panoczka nie możemy.

Żal mi się zrobiło tych nagich istotek, pozbawionych od niemowlęctwa wszelkiej wygody, przepędzających lata bez dachu, zimy w dołach lub budach ułożonych z darniny. Wyjąłem kilka groszy i obdzieliłem Cyganiatka.

— Niech wam Pan Bóg nagrodzi, zawołała stara, a ja czem mogę odslużę. Podajcie rękę, znam się na wróżbie i powiem wam coś o dalszych latkach.

Wahałem się przez chwilę... przesąd i rozsądek toczyły z sobą walkę. Pierwszy przestrzegał mię, aby nie uchylać tajnej zasłony przyszłości i nie ściągnąć przez to na siebie jakowego nieszczęścia; drugi natrzęsał się z wróżb i z tych którzy im wierzą.

Zamiast podać rękę, zapytałem:

— Czy z daleka jesteście?

— Ho, ho, z Węgier, z Siedmihradu, z Galicyi, z Wojwodyny....

— Jakto, z tyłu miejsc naraz? przeciw musicie mieć jakąś ojczyznę.

— A czy to Cygan ma ojczyznę? odrzekła w pół z uśmiechem, a nawpół smętnie stara. Ja urodziłam się gdzieś na Siedmihradzie, tamta w Banacie, ten pod Samborem w Galicyi, a dzieci po

różnych stronach. No, dajcie panoczku rękę, powrócę wam. Mimowiednie prawie podałem rękę.

Cyganka w dłoń patrzyła długo, a potem puściła ją i nie rzekła.

— No cóż? zapytałem z uśmiechem, ręka jak drugie, nic na nią niema z czego można by wróżyć?

— Jest panoczku, o jest... ale...

— Ale co?...

— Taj nic...

Zaniepokoiło mię to wahanie się Cyganki; począłem nalegać. Nareszcie z widocznym wstrętem rzekła:

— Ja panoczku chciałam co dobrego powiedzieć, ale złego nie powiem.

— Mówcie, choćby co najgorszego, rzekłem z uśmiechem, gdyż waszej wróżbie nie wierzę.

— No kiedy nie wierzą, zawołała, przesywając mię nawskróś czarnemi oczyma, to ja im powiem że nigdy nie będą szczęśliwi, a jutro to im się może wydarzyć nieszczęście. To powiedziawszy, odeszła ku ogniskowi.

Przyznam się że przepowiednia Cyganki nieco mię stropiła. Doszedłem do Szyc już nie w takim wesolem usposobieniu jak przy rozpoczęciu wędrowki. Czasami przychodziło mi na myśl, żeby się wrócić;



Wjazd od miasteczka Skaly.



Widok od oberży na górę Chelmoną.

wędrownika.

Podróż odbywała się bardzo wesoło; cel wytknięty i blizki, umysł swobodny, nadzieja zobaczenia uro-

czych widoków prądnickiej doliny, a szczególnie młodość, nieoceniona młodość, czyniły tę wycieczkę tak lubą, że do dziś dnia z tęsknotą o nią wspominam.

lecz zły wypadek mógł mię zarówno spotkać w Krakowie, jak i w ojcowskiej dolinie.

Zawizowanie paszportu trwało krótko. Wszedłem do karczmy za granicą. Gospośnia ugotowała mi kawę. Pokrzepiony, zamyślałem puścić się w dalszą drogę; karczmarka jednak, jęmość od waszecia, gorąco mi ganiła ten zamiar.

— Gdzie pan będzie chodził po nocy? mówiła. Ani pan drogi nie wie, ani pora po temu. Ot i słońko zachodzi, a jak pana szwarcownicy napotkają, to gotowi obedrzeć, jeżeli nie co gorszego. Lepiej się pan połóż, a jutro zbudzę przed wschodem słońca, to i droga będzie przyjemniejsza.

Znużonemu półtoramilową przechadzką, rada ta nie zdawała się złą. Zostałem.

Nazajutrz o świcie, przy ćwirkaniu zbudzonych wróbli, dążyłem w dolinę prądnicką. Trudno opisać co się ze mną działo: biegłem prawie zamiast iść, pragnąc jaknajprędzej dostać się w uroczą dolinę, na którą tyle razy spoglądałem tęsknie z wyżyny mogiły nad Krakowem panującej, pragnąc ujrzeć jedną z tych skał fantastycznych, o których mi tyle narzopowiadano.

Dzięcię górzystych okolic Krakowa, jeszcze nigdy górnym nie widziałem, jeszcze nie spotkałem się z masami olbrzymich skał, świeżymi naga piersią jurasu lub granitu. Wprawdzie później przekonałem się że ojcowskie góry nie są górami, lecz wąwozem otaczającym łożysko swawolnego Prądnika; pomimo to jednak dały mi one przedsmak uroczych biesiad, na jakie w trzynaście lub czternaście lat potem zaprosiły mię Pieniny i Tatry.

A jutrzienka purpurą rozlała się na wschodzie; niebo piérzastemi chmurkami okryte lazurzyło się cudownie. Skowronków mnóstwo trzepotało się pod obłokami; lasy spiętrzone, gęsto wysyłały forpoczty w dolinę, a zieloność tak piękna tu jeszcze panowała, jakby dopiero wczoraj wiosna opuściła nasze podniebie.

I szedłem coraz dalej w rozszerzający się wąwóz. Już w oddali zamajaczała opoka szarobiaławą barwą na sinawo-zieloném tle odległego boru; za nią wyjrzała druga i trzecia, zaciekawione kto im tak rano przerywa spoczynek.

Tu przypadła chatka pod skałę i silnie trzyma się swęj opiekunki; tam inna, ostrożniejsza jeszcze, skryła się pod olbrzymią arkadę, aby od wichrów i dęszców ochronę znaleźć; owdzie sterczy potężna z głazu wieżycyca; tam górny kraniec postrzepiony w koronki, a w pośrodku młyny nieusypiające dzień i noc, klekoczą kół palcami i wyrzucają kaskady wód.

Ileż kwiatów, jaka ich woń aromatyczna, jakie żywe barwy! O brzasku wszystko było szare, lecz piérwszy promyk słońca rozwinął całe bogactwo kolorów, strojąc miliardami dyamentów dzieci doliny. Zachwycałem się wszystkiém, to stając, to zwracając

się, ażeby nie stracić najmniejszego szczegółu tych czarownych obrazów.

Kiedyż ujrzę Ojców? Dolina piękna, ale już mi jęj zadługo. Tęsknię za basztą Ojcowa. Oprócz Tenczyna, nie widziałem jeszcze ani jednego zamczyska, a każdego z nich pożerałem opis, bo do tych

z tamtąd widoku na precudną dolinę; ale ani jednego stopnia, ani drabiny nawet. Gdybym miał potęgę wskrzeszenia zmarłych, użyłbym jęj na zbudzenie ze snu niedbałych starostów, którzy tę wspaniałą budowlę oddali na pastwę zniszczenia, a usadowiwszy ich na szczycie baszty, tam wystawionych na spiekotę słońca, wściekłość burz i uścisk mrozu, zostawiłbym w pełni życia przez tyle lat, ile upłynęło od dnia w którym piérwsza cegła, oderwawszy się od murów zamkowych, w przepaść runęła.

Podumawszy chwilę, z wieżycy wyszedłem na dziedziniec, aby odszukać śladów dawnego rozpołożenia zamku. Niecierpliwym przebiegałem wzdłuż i w poprzek cały dziedziniec, dopóki jakiś głos gromki nie zawołał:

— Stój pan! stój! bo wpadniesz w studnię.

Zatrzymałem się strwożony. W istocie, o trzy kroki przedemną widać było czarny, bezdenny otwór, w którym, gdyby nie głos ostrzegawczy, byłbym moję wycieczkę zakończył.

Obejrzałem się, ażeby zobaczyć kto mi życie uratował.

Był to chłopiec równego może ze mną wieku, nie chłop, nie mieszczanin, ot coś pośredniego pomiędzy temi dwoma stanami, bo surdut miał czarny i czapkę z daszkiem na głowie, a reszta ubioru przemawiała za sielankowém pochodzeniem.

Dowiedziałem się iż to syn włościanina z Ojcowa, a zarazem krawczyk z Olkusza. Wkrótce byliśmy z sobą jak dwaj starzy znajomi. Ofiarował mi się za przewodnika do pieczar ojcowskich. Propozycja ta nie była do odrzucenia, gdyż zwyczajnych przewodników nie byłbym w stanie całą moją gotowizną opłacić.

Niezadługo po stromęj spadzistości pieliśmy się w górę. Mój przewodnik opowiadał mi podania przywiązane do owych pieczar, ale w najzabawniejszy sposób poprzekęcane. U ludu żadna przygoda nie obejdzie się bez miłostek. I tu też schronienia miał szukać król przed zazdrosną a zalotną żoną, która kochając różnych panów na dworze przebywających, a osobiwie jednego Czecha, namówiona przez niego, chciała męża zabić. Król, przestrzeżony przez niewiastę służebną, uciekł w nocy z Krakowa i chował się przez dwanaście lat w pieczarach, kędy go lud wiejski żywił; aż narazie syn jego, dorósłszy, przy pomocy wieśniaków Czecha owego na polowaniu zabił i ojca wyzwolił. Potem stary monarcha wystawił zamek i nazwał go Ojcowem, na pamiątkę przywiązania synowskiego, a niewierną żonę zamknął w kamiennęj wieży.

naprózno chciałem mu dać poznać że błędzi, naprózno rozpowiadałem mu szeroko fakta historyczne dotyczące Ojcowa. Uśmiech niedowierzania



Widok z góry Zamkowej na dolinę Ojcowską.

wszystkich murów poprzyrastały to jakieś wspomnienia, to legendy, to podania ludowe.

Nakoniec z zakrętu doliny wyjrzała potężna baszta ojcowskiego zamku. Widok jęj dodał mi skrzydeł. Stanąwszy u stóp góry, począłem się wdzierać po stromęj spadzistości i wkrótce znalazłem się na



Kościółek św. Salomei na Grodzisku.

szczycie.

Trudno wdawać się w szczegółowy opis zwalisk, niepodobna snuć o nich wywodu historycznego; za nadto mych poprzedników, może wdzięczniejszém piórem, opisało to zamczysko. Wbiegłem do wieży, w nadziei dostania się na jęj wierzchołek i użycia

i litościwe kiwanie głową, dowiodło mi że moja erudycja jest daremną.

Zwiędziliśmy obie pieczary do południa. Wrażeń moich opisywać nie będę, o jednym tylko wspomnieć nie zawadzi, to jest o nierozsądku naszych turystów. Ogołocili oni pieczarę Ciemną z przesłicznych sopleńców, Bóg wie na co. Gabinetowi mineralicznemu przydać się bardzo mogą i tam właściwe zajmują miejsce; ale pytam się na co komu zdadzą się kawałki glazu? Chyba na to, aby się poniewierały po stolikach i kominkach póty, póki ich dzieci w kącie nie cisną, lub służba na śmietnik nie wyrzuci, gdy tu tak wspaniale zdobily jedną z najpiękniejszych grot tego rodzaju. Widziałem barbarzyńcę utracającego na zamku krakowskim kawałek marmuru z pomnika Kaźmirza W., aby się potem mógł tą pamiątką pochwalić. Nie marmur, ale rękę odrzuciłbym takiemu świętokradcy.

Po skromnym posiłku, w bardzo skromnej naówczas austeryi ojcowskiej, puściliśmy się w dalszą drogę ku Grodziskowi i Pieskowej skale. W pierwszym mnóstwo podpisów znalazłem na ścianie kościołka, a chociaż między nimi spotkałem nazwiska moich dwunastu kolegów, nie powiem jednak aby mi na myśl nie przyszło zdanie łacińskie: *Nomina stultorum ubique locorum inveniuntur*. Sprawdziłem to później na skale Pisaniej w dolinie Kościeliskiej. Próżność nigdy nie opuści synów Adama.

O świetle księżycowym przebywaliśmy śpiesznie drogę z powrotem. Mój towarzysz mówił mało, a oglądał się i nad słuchiwał często. To mię trochę zaniepokoiło. Czyżby obawiał się napotkać zbójców?..

— Śpieszmy, śpieszmy, panie, żeby nas przypadkiem nie nadybali, boby źle było z nami, mówił Janek.

— Kto taki? zapytałem.

— A któżby, jeśli nie szwarcownicy. Ho ho, jak kogo nieznanego spotkają nocką, to mu wcale nie żałują smarowidła; mogą i na śmierć ubić.

— A cóż im spokojny wędrownik winien? zagađnałem nieco zmieszany.

— Widzisz pan, odpowiedział. Szwarz to rzemiosło wygodne i zarobek łatwy, ale bardzo niebezpieczny. Są tacy co ciekają (śledzą) za szwarcownikami i zdradzają ich przed urzędem. Jak się czasami nazlatuje strażników, to się i batalia robi.

— A czy szwarcownicy chodzą z bronią? zapytałem Janka.

— Mają kije, ale jakie kije! Szwarcownik jak upatrzy młodego buczaka albo dębczaka w lesie, to narzyna korę i gęsto zasadza za nią łupany krzemień. Na drugi rok kora zarośnie, a kij zrobi się tak twarży, że go i pałasz nie przetnie. Czasem po trzystu idzie naraz. Gdy ich straż zdybie, ciskają brzemionczka z cukrem, kawą i cygarami na ziemię i biją się do upadłego. Otóż oni, spotkawszy obcego, myślą że to zdrada i mogą zabić na miejscu.

Uszliśmy jeszcze kilkaset kroków, gdy wtém mój przewodnik silnie pociągnął mię w gąszcz, a wdrapawszy się na drzewo, i mnie cichuteńko podobnie zrobić zalecił. Zadrżałem; mimowolnie przyszła mi na myśl wczorajsza przepowiednia Cyganki.

W dziesięć minut potem nadeszło 80 do 100 ludzi, zbrojnych w kije, z brzemionami na plecach. Kiedy mijali drzewo, idący na przodzie zawołał:

— A ja wam powiadam kmotrze, że widział wyraźnie jak się coś czarnego snuło w tej stronie, a kiedy mówię że widział, tom widział. Trzeba szukać.

— Ha to szukajmy, a jak znajdziemy, to mu będzie ciepło. Dalej chłopcy!

Kilkunastu, złożywszy brzemiona, rozbiegło się w koło, ale po kwadransie daremnie poszukiwania, powrócili połączyć się z całą bandą.

Wtém nadszedł znać ich dowódca, bo ostro rzekł:

— Dość tego! Tu niema nikogo, czego bałamucicie czas?

Próżno dostrzegacz upierał się przy swoim; nic nie pomogło, musieli usłuchać rozkazu i ruszyć w pochód.

W pół godziny zaledwie potem ośmieliliśmy się opuścić kryjówkę.

— To szczęście od Boga, że nie mieli psa z sobą, rzekł mój towarzysz, boby nas ta zmyślna gadzina wysłodziła na jeden raz.

Bez przeszkody doszliśmy do chaty ojca Jankowego,

który nas gościnnie przyjął i na wieczerzę zaprosił. Misa kwaśnego mleka ze śmietaną i taléż kopiasty żółciuteńkich gorących ziemniaków zniknęły w kilka minut. Najmłodsze dwuletnie dziecię gospodarza było chore. Poradziłem mu, a na drugi dzień rodzice serdecznie dziękowali, bo malca gorączka opuściła zupełnie. Za wczorajszą wieczerzę, nocleg i obfite śniadanie gospodarstwo nie przyjęło zapłaty; ledwie zgodzili się na to, że dzieciakom dał po dziesięć.

Pocziwy Janek przeprowadził mię kawał ku granicy i także za przewodnictwo grosza przyjął nie chciał. Pożegnaliśmy się serdecznie, jak starzy znajomi.

Kiedym przebył granicę około południa, po zapłaceniu kawy, sakiewka moja pokazała dno próżniuteńkie. W Toniach głód począł mi piekielnie dojmować, a nie było za co kupić i bułki. Wróciłem do Krakowa o 5 wieczorem, porządnie osłabiony i męczony prócz tego dokuczliwym bólem głowy.

Niechże teraz kto twierdzi, że z 5 złotychkami nie można odbyć z Krakowa trzydniowej wycieczki do Ojcowa, Grodziska i Pieskowej skały. I ja się nato zgodzę, lecz kto ma o 15 groszy więcej, śmiało puścić się na nią może.

Wł. L. A.

Uroczystość winobranców

w Vevey. (*)

Początek tej uroczystości sięga średnich wieków, dokładnie jednak czasu jej powstania oznaczyć niepodobna, z powodu pożaru, który w roku 1688 zniszczył miasto Vevey i akta towarzystwa winobranców. Najdawniejszą pamiątką, obecnie w posiadaniu towarzystwa będącą, jest puhar ofiarowany Bachusowi na uroczystości odbytej 1618 roku i opis całego obchodu z roku 1647. Trzeba bowiem wiedzieć, że uroczystość ta do dziś dnia jest ciągiem przedstawień mitologicznych obrazów.

O początku jej z podań i rękopisów można się dowiedzieć, że jeszcze w roku 1130 zakonnicy, właściciele winnic w Lavaux, obchodzili corocznie koniec winobrania, coś nakształt naszego okrężnego. Nietylko narzędzia winobrania, ale i rolnicze obnoszono wtędy po Vevey, poczem następowało rozdawanie nagród, a gry, zabawy i tańce pod gołym niebem zakończyły tę uroczystość, w której cały lud robotczy brał udział.

Z reformacją i zniesieniem klasztoru, zarząd towarzystwa winobranców przeszedł w ręce wielkich właścicieli ziemskich, a z postępem czasu stał się obieralnym. Mimo tak długiej jednak kolei wieków, towarzystwo przechowało niektóre dawne swoje obrzędy i tytuły: samo nazywa się *bractwem*, a prezes ma miano opata i na uroczystościach nosi pastorał.

Aby dać poznać cel tego towarzystwa, a raczej bractwa, przytaczamy dosłownie art. 1. ustawy, datującej od najdawniejszych czasów.

„Zadaniem bractwa jest przykładać się wszelkimi siłami do udoskonalenia uprawy wina i rolnictwa w ogólności, zajmować się badaniem przymiotów ziemi najdogodniejszej do uprawy wina i zachęcać do dalszego postępu rozdawaniem nagród odznaczającym się zdolnością i pracą winobrancom i rolnikom.“

Gdy przecież uroczystości te robiły się z czasem coraz kosztowniejszymi, nie odprawiano już ich corocznie, ale w długich lat odstępach. Przeniesiono także obchód na porę piękniejszą, kiedy pewniejsza nastaje pogoda, to jest na czas rozpoczęcia robót w winnicach.

Ostatnie pięć uroczystości odbywały się w latach: 1797, kiedy kanton wodejski uzyskał całkowitą autonomię, w roku 1819, po ustaleniu się pokoju europejskiego, następnie w latach 1833 i 1851 i ostatnia w roku 1865.

Zanim przystąpimy do opisanja tej uroczystości,

(*) Artykuł ten jest streszczeniem korespondencji przez ziomka naszego pana C. z miejsca nam n. deslanéj.

(Przyp. red. Tygod. Illustr.)

widziemy potrzebę kilka słów powiedzieć o miejscowości. Miasto Vevey leży nad jeziorem genewskim, w samym kącie wklęsłości tworzącego się tu załomu. Skały otaczające ten załom, uroczy przedstawiają widok, odmiennego zupełnie charakteru niż część jeziora rozciągająca się od Genewy do Vevey.

Mieszkańcy tego miasta i jego okolic odznaczają się wesołością i górują nad innymi w znanéj szwajcarskiej gościnności. Ale o tém poniżej kilka słów powiemy, a teraz przejdźmy do opisu samego miejsca, tak jak wyglądało podczas ostatniej uroczystości.

Na placu nad jeziorem położonym zbudowany był z drzewa czworobok sięgający najwyższych domów, mający rozległości około 60000 stóp kwadratowych. Z trzech stron jego urządzone były ławki w amfiteatr, mogące pomieścić 10000 osób. Czwarty bok tworzyły trzy bramy tryumfalne, na 40 stóp wysokie, a 35 szerokie. Środkowa, przeznaczona na wjazd orszaku Bachusa, boga jesieni i winnic, głównego bohatera uroczystości, była wyższą nieco od dwóch drugich i miała po obu bokach łuki nieco niższe. Na wierzchołku jej wznosił się posąg Szwajcary w sukni długiej, spadającej do podstawy w suchych a pięknie ułożonych draperyach. Jedną ręką opierała się na liktorskiej wiązce toporów, a drugą na tarczy herbowej kantonu wodejskiego, białą i zieloną przez połowę w podłuż pomalowaną.

W odległości 10 metrów wznosiły się dwie drugie bramy: po prawej stronie względem widzów brama Pallady bogini wiosny, pasterzy i paśników, po lewej brama Cerery, bogini lata, żniwi i prac rolnych. Wierzchołek tej ostatniej zdobił olbrzymi snop zboża. Każda brama innym kolorem była pomalowana: Bachusa zielonym, Pallady niebieskim, a Cerery czerwonym. Oprócz tego wszystkie ozdobione były wieńcami i girlandami z liści i kwiatów, narzędziami rolniczymi, oraz herbami kantonów, miast i wiosek należących do bractwa. Ściany wewnętrzne estrad również były obwieszane wieńcami i girlandami.

Na dole środkowej estrady urządzone miejsce nieco wywyższone, dla opata i komitetu bractwa, na które się wchodziło po schodach honorowych. Ztamtąd opat przemawiał do biorących udział w uroczystości i rozdawał nagrody odznaczającym się rolnikom i winobrancom płci obojg. Niżej rozciągała się między estradami a bramami obszerna podłoga, gdzie miały przeciągać, a następnie zająć przewidziane miejsca rozmaite orszaki, dla popisywania się z tańcem, śpiewem i t. p.

Liczba biorących udział w orszakach, śpiewach, tańcach i innych igrzyskach wynosiła 1500 przeszło osób. Wszystkie miejsca na estradach zajęte były, a oprócz tego plac otaczający cały był natłoczony, tak że widzów na 25000 liczyć można.

Dnia 26 lipca o trzeciej z rana wystrzał armatni zbudził mieszkańców Vevey; był to znak, że biorący udział w uroczystości powinni się zbierać na miejscach przeznaczonych dla każdego orszaku. O szóstej drugi wystrzał był znakiem, że radcy bractwa, winobranicy mający otrzymać nagrody i goście zaproszeni, to jest radcy związkowi i inni dostojnicy, wyruszyli z ratusza. Wkrótce orszak ten ukazał się w środkowej bramie, prowadzącej do miejsca okolo estradami. Przed orszakiem szedł oddział halabardników, w ubiorach starożytnych Szwajcarów.

Za pierwszym oddziałem halabardników postępowali radcy bractwa, w ciemno-zielonych frakach z srebrnymi guzikami, w kapeluszach wysokich, ozdobionych winnem gronem czerwonym lub białym i wstęgą, każda innego koloru, stosownie do sprawowanego urzędu, a za nimi goście zaproszeni w czarnych frakach. Smutnie wyglądały te skromne ubiory, przy świetnych strojach halabardników i opata, który miał frak i kamizelkę kroju dwuwiekowego, krótkie spodnie i pończochy fioletowe, a w rękę ciężki srebrny pastorał.

Po wejściu tego orszaku opat, radcy bractwa i zaproszeni goście zajęli miejsca na wyznaczonej estradzie, a winobranicy mający być nagrodzeni zasiedli po obu stronach niższej estrady. Halabardnicy ustawili się dwoma rzędami wzdłuż bocznych estrad.

O godzinie siódmej trzy wystrzały armatnie uwiadomiły zbraną publiczność, że orszaki Bachusa,

Pallady i Cerery wyruszyły z miejsc sobie przeznaczonych. Ale nim doszły do bram tryumfalnych, deszcz coraz większy zaczął padać. Opat zwołał na naradę członków komitetu bractwa i zadał im pytanie, czy nie lepiej byłoby odłożyć uroczystość na dzień następny. Ale komitet jednomyślnie mu odpowiedział, że trzeba wytrwać, bo nie godzi się robić zawodu tak wielkiej liczbie widzów, z najodleglejszych stron świata przybyłych.

Wjazdy więc się odbyły, najprzód Pallady, potem Cerery, a nakoniec Bachusa. Każde bóstwo siedziało na wozie pod baldachimem, mającym kilka stopni po obu stronach. Na tych stopniach, równie jak na wozach, siedziała pewna liczba orszaków każdego bóstwa. Wozy ozdobione były rzeźbami posrebrzanymi u Pallady, złotonemi u Cerery i Bachusa.

Orszak Pallady poprzedzony był chórem tręb. Za muzyką postępował orszak dziewcząt w kolorach niebieskim i białym, z koszykami kwiatów w ręku. Wóz ciągniony przez cztery piękne woły, otoczony był dziewczętkami od sześciu do ośmiu lat w różowych, niebieskich i czerwonych sukienkach, opierającymi się drobnymi rączkami o stopnie. Za wozem postępowali kapłani Pallady, za nimi różnobarwny orszak ogrodników i ogrodniczek, pasterzy i pasterek, kosiarzy i pomocnic ich z grabiami, a dalej wóz ogromny, naładowany woniejącym sianem. Potem szły doborowe jałowice, brzęcząc dzwonekami używanymi na paśnikach alpejskich, oraz owieczki i baranki. Dalej jeszcze *armelle*, jak nazywają tu wyrabiających séry. Cały ten orszak obszedł około miejsce zabawy i stanął rzędem przed halabardnikami po jednej stronie estrady; wóz zaś tryumfalny Pallady zatrzymał się przy lewej bramie.

Wjazd Cerery odbył się w takim samym porządku jak poprzedni, z tą tylko różnicą, że panującym kolorem był czerwony ze złotym, tak w ubraniu bogini, jak muzyki i ozdób tryumfalnego wozu, ciągniętego także przez cztery woły. Około niego i za nim postępowali żniwiarze i żniwiarki, z koszykami pełnymi owoców letnich i ze snopami. Kilku ludzi niosło na drągach ul złoty ogromnych rozmiarów. Orszak ten, obszedłszy plac zabaw i igrzysk, stanął szeregiem; wóz zaś tryumfalny Cerery, królującej na nim ze złotym sierpem w ręku, zatrzymał się u właściwej sobie bramy.

Wjazd Bachusa najpiękniejszy przedstawiał widok. Kolor zielony ze złotem panujący w ozdobach wozu, w ubraniach muzyki i całego orszaku, pięknie odbijał od czerwonych i niebieskich ubrań dwóch poprzednich orszaków ustawionych po obu stronach placu. Muzyka Bachusa miała ubranie innego niż poprzednie kroju i instrumenta muzyczne niezwykłej formy. Były to rogi olbrzymie lub tromfony, których ogromne otwory miały kształt łbów smoczyc. Kaski złote, o dwóch skrzydłach, także napierśniki i przepaski, tuniki zielone haftowane u dołu w girlandy złote, rękawy otwarte od łokcia i trykoty cieliste, a na nich pięknie odbijały sznury złote krzyżujące się, które przytrzymywały trzewiki starożytniej formy. Na wozie zaprzężonym w cztery konie oczaprakowane tygrysiemi skórą, siedział Bachus na beczce białej ze złotemi obręczami. Na głowie miał wieniec z bluszczu, w ręku zaś ogromną czarę i nią błogosławił obecnych. Na ramieniu miał przypiętą w kształcie płaszcza skórę tygrysa, którego, jak mówi mitologia, własną ręką zabił. Na słupach baldachimu wiły się winne liście, naprzemian z gronami. Wóz otoczony był licznym orszakiem kapłanów i kapłanek Bachusa, oraz zwolenników jego, niosących w koszykach pozłacanych rozmaite ofiary, lub na drągach olbrzymie winogrona, niemniej mnóstwem puciołowatych satyrów, faunów, bachantów i bachantek.

W orszaku znajdował się i niezbędny Sylen i kocioł poświęcony Bachusowi. Kiedy ten orszak plac obchodził i następnie ustawił się w głębi przy bramach tryumfalnych, weszli na plac reprezentanci prac zimowych. Opis ich odłożyć musimy do wzmianki o przedstawieniu mimicznym, naśladowanym ich zatrudnienia.

Zaledwie ruch ten ustał, kiedy sześć orkiestr zebranych na środku placu i halabardziści wzniesli hymn do Szwajcaryi. Śpiew ten, przez dwieście męskich głosów wykonany, niemałe zrobił wrażenie,

témbardziej, że słowa były równie wzniosłe jak muzyka.

Następnie orkiestry usunęły się na strony, a trzej arcykapłani zbliżyli się do estrady opata. Za każdym z nich uszykował się w długim szeregu jego orszak, tak że plac na cztery podłużne części był podzielony. Trio arcykapłanów odśpiewało hymn do rolnictwa, z towarzyszeniem chóru z tysiąca pięciuset osób złożonego.

Po odśpiewaniu tego hymnu, przystąpiono do rozdania nagród. Mający je otrzymać zebrał się przed główną estradą. Opat, stosownie przemówiwszy, rozdał sześćdziesiąt cztery medali srebrnych i brązowych, wielkości dwuzłotówki, z napisem: *Ora et labora (Modl się i pracuj)* co jest dewizą bractwa. Następnie opat dał dwom winobrancom, którzy znajomością uprawy, troskliwością w wykonaniu robót, pracą i otrzymaniem owocami o wiele przewyższali wszystkich innych, medale złote, większe od poprzednich i z takim samym napisem, włożył im na głowy wieńce i zaprosił ich na miejsce honorowe na głównej estradzie. Dwóch chłopczków stanęło za nimi, a zgławszy w łuk gałęz winnej macicy okrytej gronami, trzymali ją nad ich głowami. Arcykapłani Pallady i Cerery podeszli do nich mierzonym krokiem i oddali im olbrzymi bukiet, ofiarowany przez ich bóstwa. Arcykapłan wreszcie Bachusa podał im czarę pełną wina, którą Bachus dotąd dzierżył w swém ręku. Po wypiciu ich zdrowia z tej czary przez opata, radców bractwa i gości znajdujących się na estradzie, rozpoczęły się tańce i zabawy, przeplatane stosownymi śpiewami. Na cztery części podzielone, przedstawiały one prace czterech pór roku.

Najprzód więc wystąpiła Pallas, bogini wiosny, objechała plac i zatrzymała się na jego środku. Wtedy arcykapłan zbliżył się do głównej estrady i zaśpiewał hymn do bogini wiosny. Poczém dziewczynki od sześciu do ośmiu lat, w białych sukienkach, z szarfami niebieskimi przepasanymi przez ramię i z girlandami kwiatów tak długimi, że na szerokość placu kilka dziewczątek je trzymało, wykonały wdzięczne tańce, przebiegały pod temi girlandami, lub tworzyły grupy piramidalne, z podniesionemi do góry bukietami i girlandami.

Po skończeniu tego tańca wystąpiła grupa ogrodników i ogrodniczek; były to starsze chłopczyki i dziewczynki, równie wdzięcznie ubrane. Pierwszy szereg wolnym krokiem się posuwał, udając niby zasiew, drugi szybszym lecz mierzonym krokiem polował wschodzące kwiaty, poczem wszyscy puścili się w taniec, podobny do taranteli i farandoli, przeplatany śpiewami, a mający przedstawiać zrywanie kwiatów.

Po ogrodnictwie, kolej przyszła na pasterzy i pasterkki, których strój prosty choć piękny naśladował najzupełniej ubranie prawdziwych pasterek i pasterek. Te ostatnie mianowicie bardzo ładnie wyglądały w białych po kolana sukienkach, w takichże śpiczastych kapelusikach, przybranych równie jak sukienki kolorem Pallady, to jest niebieskim. Taniec rozpoczęli rodzajem kontredansu, któremu wdzięku dodawały owieczki i baranki trzymane na wstążkach przez pasterkki. Podziwiać trzeba pracę czy zręczność tych co umieli te zwierzątka tak zażyć, że w tańcu nie przeszkadzały. Ale w największym zapale tancerzy muzyka nagle poczęła naśladować grzmoty. Miało to znaczyć burzę. Pasterki więc i pasterze przerwali taniec i schronili się pod dach słomiany, umyślnie na ten cel przygotowany koło wozu Pallady. Po niejakić przecież chwili mniemana burza ustała, i na odgłos muzyki pasterze z pasterkami puścili się w galopadę, czém wystąpienie swoje zakończyli.

Następna grupa przedstawiała sianozęcie. Rząd kosiarzy tańcem udawał koszenie, czasem się zatrzymując, żeby kosy naostrzyć. Za nim rząd dziewcząt z grabiami doskonale przedstawiał grabienie siana, przewracanie i gromadzenie w kupki. Kiedy niekiedy dziewczęta wyprzedzały kosiarzy, a okrążywszy ich, napowrót się za nimi szeregowały. Taniec ten prosty, ale bardzo wdzięczny i dobrze naśladowujący prace sianozbioru, oraz zastosowana do niego muzyka, obudziły powszechnie oklaski.

Po odejściu z placu Pallady i jej orszaku, pokazały się wozy napelnione woniejącym sianem, a na nich po dwóch lub trzech zmęczonych kosiarzy. Za

nimi szły krowy, potem *armelle* w malowniczych, różnobarwnych strojach, a wśród nich wóz długi drabiniasty, napelniony przyborami do wyrabiania séra. Armelle stanęli kołem na środku placu i zaśpiewali znaną pieśń *Ranz des vaches*. Po ukończeniu śpiewu, jeden z nich udoił duży ceber mléka, napelniał niem kocioł i w kilka minut wylał twaróg w formy i pokazał widzom ogromny krąg séra.

Wtém odezwały się dudy alpejskie, na znak że czas do odejścia, i armelle z krowami i wozem ustąpili miejsca orszakowi Cerery, której wóz tryumfalny, tak samo jak poprzedni objechałszy plac dokoła, zatrzymał się na środku.

Arcykapłan Cerery przystąpił do głównej estrady i odśpiewał hymn do bogini lata, zasiewów i zbiorów, zapewniających byt ludzkości. Potem wystąpili żniwiarze z sierpami i tańcem, udając żęcie zboża, a za nimi dziewczęta tańczące parami zbierały niby żęte kłosa, wiązały je w snopy i układały w stogi. Taniec ten, pełen prostoty i dokładnie naśladowujący roboty polne, był może najpiękniejszym z całej uroczystości.

Ale na tém nie koniec. Żniwiarze i żniwiarki znoszą zboże do stodoły i następuje młocka, a potem osianie ziarna. Po skończonych tym sposobem pracach, naturalnym porządkiem rzeczy trzeba wyprawić okrzęzne. Muzyka grzmią prędszym taktom, a żniwiarze i żniwiarki puszczają się w tany, to w kółka, to jedném kołem otaczając wóz tryumfalny Cerery, to znowu dzieląc się parami.

Nakoniec wjeżdżają na scenę dwa wozy ogromne, jeden naładowany workami ziarna, a drugi z młynem. Młynarze i młynarki, przywoicie omączeniu, żywa rozmową i dowcipnemi żartami uprzyjemniają jednostajność odgłosu młyna. Ale to wszystko długo nie trwa, bo trzeba ustąpić miejsca orszakowi Bachusa.

Bożek ten jest prawdziwym bohaterem uroczystości winobranców; więc orszak jego, jeżeli nie najliczniejszy, to przewyższa dwa poprzednie nie tylko malowniczym strojem, ale nadto wesołością. Po obejściu placu marszem tryumfalnym, arcykapłan dochodzi do głównej estrady i wznosi hymn do Bachusa.

Występują fauny, bachanty i bachantki. Taniec ich, z początku nieco powolny, przybiera coraz gwałtowniejsze i namietniejsze ruchy. Zakończony został szybką farandolą, w której bachanty i faunowie unieśli swe tancerki po za wóz Bachusa. Na scenę wystąpił opasły Sylen, z potrójną przepaską z bluszczu. Orszak Bachusa, mając wóz jego tryumfalny na czele, raz jeszcze plac cały objechał, a Sylen go zamykał.

Po odejściu na bok Bachusa, występują na scenę robotnicy i robotniczki, dla przedstawienia prac około winnej macicy, najprzód wiosennych, a potem jesiennych. Przedewszystkiem stają w półkole przed główną estradą i śpiewają chórem wezwanie do pracy. Potem w tańcu różnym od poprzednich, odznaczającym się naturalnym, prawdziwie wiejskim wdziękiem, udają różne zajęcia. Trudno opisać z jaką artystyczną prawdziwą zręcznością, z jakim wdziękiem wyszukują winogron pomiędzy liśćmi, zbierają je jedną ręką z ostrożnością, żeby nie uszkodzić gałęzi i składają do koszyków słomianych trzymanych w drugiem ręku. Potem przekładają je równie ostrożnie do wębórow z białego drzewa, które winobranicy biorą na plecy i przelożywszy ręce przez uszy, odnoszą je do prasy i sok winny spływa do olbrzymiej beczki. Na następnym wozie bednarze okuwają żelaznemi obręczami i biją młotami, w takt strof śpiewanych przez nich na zastosowaną do tej pracy notę. Przedstawienie prac winobrania zakończonem zostało ogłoszeniem dnia winobrania. Jest bowiem uświęcone zwyczajem, że władze gminne, przekonawszy się że winogrona są już dojrzałe, oznaczają dzień rozpoczęcia zbioru. Ogłoszenia tego dopełnił na ostatniej uroczystości starzec osiemdziesięcio-trzy-letni, który tę rolę odegrał jeszcze na uroczystości w r. 1819.

(Dokończenie nastąpi).

Brandt i Gryglewski.

Niejednokrotnie już, i słusznie, zwracano na to uwagę, że mimo braku wszelkiej zewnętrznej zachęty, mimo lekliwych głosów, upatrujących w zamiłowaniu sztuk pięknych wpływ jakiś szkodliwy na o-

byczaje narodu, malarstwo w ostatnich kilkunastu latach na bardzo wysokim względnie stanęło u nas stopniu. Młode pokolenie malarzy z zapałem rzuciło się do uprawy opustoszałej niwy artystycznej, i nawet łamanie się z tysiącami przeciwnościami, nawet troska o byt powszedni, nie zdołała zagasić w ich piersi świętego ognia natchnienia. Nazwisk tych szermie-

warzystwie artystów. W stolicy Francji spotkał się z Juliuszem Kossakiem, który był pierwszym jego kierownikiem w malarstwie. Początkowe też prace ucznia, widocznie noszą na sobie cechę naśladownictwa nauczyciela.

Po dwuletnim pobycie w Paryżu, gdzie głównie poświęcał się zawodowi technicznemu, a ubocznie tylko



JÓZEF BRANDT (podług fotografii Mieczkowskiego).

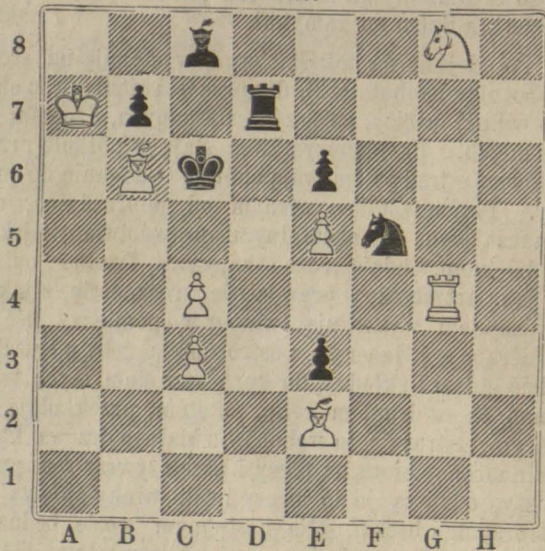
ALEKSANDER GRYGLEWSKI (podług fotografii Klocha i Putkiewicza).

Szachy.

ZADANIE XXV.

Białe zaczynają i dają matę za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 24.

Białe.

Czarne.

- 1) D7—C5 1) F5—E5 biorą.
- 2) G8—G5 † 2) E5—F4, F6, D4 [lub D6.
- 3) C5—E4 lub E6 † i mat.

Widoczną jest rzeczą, że gdyby czarne w 1-ém posunięciu poszły królem na F4, nastąpiłoby: C5—D3 † a potem E2—E4 † i mat. Toż samo byłoby gdyby czarne, nie ruszając króla, wzięły pie-szka D2.

rzy w dziedzinie piękna wymieniać tu nie będziemy, bo zadalekoby to nas powiodło, a zresztą dobrze one znane publiczności z wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych i ze specjalnych sprawozdań; pragniemy nateraz tylko zapoznać nieco bliżej czytelników z dwoma młodymi pracownikami owęj falangi niestrudzonej, których wizerunki, z okazji niedawnego ich goszczenia w naszym mieście, obecnie załączamy.

Józef Brandt, syn zasłużonego doktora medycyny Alfonsa Brandta i Krystyny z Lesslów, urodził się 11 lutego 1841 r. w mieście Szechrzeszynie. Straciwszy w dzieciństwie jeszcze wieka ojca, który padł ofiarą grasującego w r. 1846 tyfusu, młody Józef, pod kierunkiem matki i wuja swego, doktora Helbicha, kształcił się naukowo najprzód w Warszawie, a następnie w Paryżu. Już wtedy okazywał szczególne zamiłowanie do rysunku i muzyki i każdą chwilę wolną od zajęć obowiązkowych spędzał w to-

sztuce, powrócił do kraju i zamieszkał na czas jakiś w Radomskim, u drugiego wuja swego, Stanisława Lessla, który sam wysoko uzdolniony w rysunku i namiętny wielbiciel sztuk pięknych, oceniwszy niepospolity talent siostrzeńca, przeważnie wpłynął na to, że młody Józef oddał się całkowicie niepewnemu, a często i ciernistemu powołaniu artysty. Idąc za

(Ob. dodatek.)

Zagadka ukryta w szachownicy w ostatnim numerze Tygodnika, jest następująca:

Wprost poeta natchniony,
Wstecz luzak uzbrojony.
Co to znaczy, zgadnąć proszę.

(Znaczenie jój: bard-drab.)

Pierwsze dobre rozwiązanie z Warszawy nadesłał pan K. P. już o godzinie 1 1/2 z południa w sobotę, i jemu też nagroda przyznana została.

Z prowincyi otrzymał ją pan A. Z. z Lublina, który nagrodę swą przeznaczył dla tamecznego Towarzystwa dobroczynności.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 32.

Kto wilka się boi, niech nie idzie do lasu.

(Dodatek.)

radą Kossaka, śp. Simmlera i innych, Brandt wyjechał do Monachium, gdzie okazawszy swe szkice i studia z natury znakomitemu malarzowi batalijnemu Franciszkowi Adamowi, przyjęty został do jego szkoły. Pod kierunkiem tego mistrza, którego Brandt stał się wkrótce ulubionym uczniem i przyciacielem, pracował przez lat cztery; od roku zaś urządził dla siebie oddzielną pracownię w Monachium, na ulicy Szyllerowskiej, gdzie też ostatnie swe dzieła wykonał.

Niektóre obrazy Józefa Brandta nieobecne już są publiczności naszej, bo pomieszczone były na tutejszej wystawie sztuk pięknych; inne jednak, i to znakomite, utwory pędzla tego artysty rozeszły się za granicą, a w kraju znane są jedynie z fotografii. Wymienimy z nich główniejsze.

Pierwszym jego dziełem większych rozmiarów jest obraz olejny z tematu pieśni Bogdana Zaleskiego „O księciu Wiszniowieckim,” który wystawiony na Kunstvereinie w Monachium, niebawem znalazł nabywcę w osobie jakiegoś Anglika.

Podobnie temat znaną piosenkę: „*Stuk, stuk w okieneczko*,” posłużył Brandtowi do małego rodzajowego obrazka, który w r. 1864 znajdował się na warszawskiej wystawie sztuk pięknych i nabyty został przez pana Rentla.

Zachęcony powodzeniem pierwszych dwóch prac olejnych, przedsięwziął Brandt wykonanie obrazu większych rozmiarów, obrawszy sobie za przedmiot *Lisowczyków powracających z wyprawy*. Dzieło to, przeznaczone na tutejszą wystawę, lecz czasowo pozostawione na krakowskiej, wybrane tam zostało na premium dla członków Towarzystwa sztuk pięknych.

Z prac jego historycznych znany jest publiczności naszej *Powrót wojsk z pod Wiednia*, do którego treści zaczerpnął z Pamiętników Paska. Właścicielem tego pięknego obrazu jest pan Leon Epstein w Warszawie.

Po dwuletnim pobycie w Monachium, Brandt otrzymał zaproszenie od Towarzystwa sztuk pięknych w Zurichu i Düsseldorfie, aby prace swe na wystawie tameczne nadesłał; jakoż w r. 1865 wykonał dwa obrazy olejne: jeden przedstawiający *Jarmark na Ukrainie*, przeznaczony na wystawę do Zurichu i drugi wyobrażający *Rozbicie i ucieczkę Tatarów*, do Düsseldorfu. Oba te obrazy nabyte zostały przez niewiadomych amatorów.

W r. 1866 widzieliśmy na wystawie warszawskiej dużych rozmiarów płótno Brandta, wyobrażające *Pochód wojsk przez hetmana Tarnowskiego prowadzonych*. Obraz ten, następnie przesłany do Poznania, na wystawę czasowo w tym mieście urządzoną, nabyty został przez hr. Grudzińskiego.

Niewielki obrazek rodzajowy, przedstawiający *Konia trzymanego przez nadwornego Kozaka*, znajduje się w posiadaniu p. Zygmunta Sarneckiego.

Wierność szczegółów i prawda w utworach Brandta, tak rodzajowej jak i historycznej treści, pochodzi głównie może z zamiłowania jego w ubiorach tak dawnych, jakoteż i obecnie przez lud nasz używanych. Obfity zbiór takich ubiorów zawdzięcza artysta własnemu staraniu i względności znajomych amatorów, świadomych jego zamiłowania. I tak w roku zeszłym otrzymał kompletny ubiór Polesiuków i niebawem, korzystając z tego materiału, wykonał prześlizgnięty rodzajowy obrazek, *Powrót z jarmarku*.

Każdego roku ferye letnie przepędza Brandt w kraju na wsi, gdzie studiami z natury zbogaca zasób swych zbiorów artystycznych.

Obecnie na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie znajdują się dwie ostatnie prace Brandta: *Chodkiewicz pod Chocimem* i *Epizod z wyprawy Stefana Czarnieckiego*, przez jmc. pana Paska opowiedziany. Nadto na téjże wystawie umieszczoną jest fotografia z obrazu olejnego, nabytego jeszcze na sztalgach w pracowni przez turystę Anglika, mimo iż przedmiot tego obrazu, *Powrót z jarmarku w Opoczynie*, dla syna Albionu w zupełności był obcy.

Tyle i tak znakomitych prac, dokonanych przez 27 letniego artystę, świetną niewątpliwie wróży mu przyszłość, w której o własnych już siłach pokierować się zdoła, szczęśliwy, że i w początkach obranego zawodu przyjazna ręka rodziny wspierała jego kroki, ułatwiając mu możliwość kształcenia się w sztuce.

Mistrzowskie rozporządzenie planów, koloryt nieporównanie świetny, werwa i życie w grupowaniu pojedynczych epizodów i w ogólności technika niezmiernie wyrobiona, zapowiadają że Brandt w szeregu nietylko krajowych, ale i europejskich batalistów jedno z pierwszych miejsc zająć kiedyś może.

Inny całkiem widok, bo obraz dłużej a twardej walki z niedostatkiem, przedstawia nam życie Aleksandra Gryglewskiego. Artysta ten urodził się r. 1833 w miasteczku Brzostku, w obwodzie jasielskim, w Galicyi, z rodziców niezamożnych. Ukończywszy szkoły normalne i kilka klas gimnazjalnych, dla braku funduszy zmuszony był przerwać kształcenie się dalsze, z upragnieniem oczekując szczęśliwej jakiej zmiany okoliczności. Ale lata ubiegały, a wszystko w dawnym pozostawało stanie. Młodzieniec, przerażony bezcelową swą przyszłością, umyślił, bądź co bądź, o własnych siłach puścić się do Krakowa. Przybył tam ze szczupłym niezmiernie fundusikiem, ale silny energią i niezłomnym postanowieniem utorowania sobie drogi na świecie. P. Feliks Wasilewski, brat poety Edmunda, pierwszy podał mu rękę, ofiarując stół i pomieszkowanie, w zamian za godzinę nauk początkowych udzielanych jego synkowi. Zabezpieczony w ten sposób w najważniejszych przynajmniej podstawach bytu materialnego, Gryglewski uczęszczać zaczął do szkół krakowskich i na lekcye rysunku. Profesorowie Łuszczkiewicz i Szynalewski, poznawszy się na zdolnościach swego ucznia, zachęcali go całymi siłami do poświęcenia się sztuce, a widok starożytnych świątyń i pomników Krakowa, rozżarzył w duszy młodzieńca chęć uprawiania malarstwa architektonicznego. Troska jednak o utrzymanie paraliżowała szybsze postępy rozpoczynającego swój zawód artysty: pragnął pracować i kształcić się, ale zabrakło mu środków. W takim położeniu Zofia z Branickich hrabina Potocka, dowiedziawszy się o talencie Gryglewskiego, przeznaczyła mu rocznie po 120 guldenów, a szczupły ten zasiłek młodemu zapaśnikowi sztuki wydał się bogactwem, ukrzepił go i zachęcił do dalszych usiłowań. Obraz jego, przedstawiający *Wnętrze kościoła Maryackiego*, skłonił protektorkę, iż ze zwykłą sobie delikatnością ofiarowała mu 400 guldenów na podróż za granicę. Przy pomocy téj Gryglewski wyjechał do Monachium i kształć się pod kierunkiem Seebergera, znakomitego profesora perspektywy, przysłał z tamąd do Krakowa na wystawę sztuk pięknych obraz przedstawiający *Wnętrze kościoła Panny Maryi* w stolicy bawarskiej. Utwór ten niezwykajnie obudził zajęcie pomiędzy znawcami: poznano że szczupły zastęp artystów krajowych powiększył się o jednego dzielnego pracownika.

Odtąd już młody artysta szybszym coraz krokiem postępował naprzód. Mury pod pędzlem jego odżyły; tchnął poezją w przedmioty pozornie tak zimne i nieprzemawiające do duszy. Umiejętne oświetlenie, wyborna perspektywa i śmiałe a szerokie użycie kolorytu, postawiły go na równi z najlepszymi w tym rodzaju malarzami.

Z dwudziestu przeszło obrazów Gryglewskiego wymieniamy cenniejsze, do których należą: *Kościół św. Barbary* w Krakowie; *Ratusz na Kaźmirzu*; *Wnętrze kościoła św. Krzyża*; *Widok kaplicy i pomnika Batorego* (podwójny) w katedrze zamkowej; *Wnętrze kościoła bardyowskiego* na Węgrzech; *Boczna nawa z pomnikiem Borytyńskiego* na zamku; *Poprzednia nawa katedry, z pomnikiem Michała Korybuta*; *Kaplica św. Stanisława*; *Część wnętrza kościoła Maryackiego z pomnikami Cellarych*; toż samo wnętrze z drugiej strony wzięte i *Pomniki Montelupich*; nakoniec *Kaplica Zygmuntońska*, znajdująca się na wystawie sztuk pięknych w Dreźnie. Wszystkie te obrazy, których część znaną jest i tutejszej publiczności, zakupione zostały bądź przez Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie i Krakowie, bądź przez prywatnych amatorów.

L. J.

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg.)

Ubożsi lokatorowie domu w którym zamieszkała Strzemska ze swymi dziećmi (to jest wszy-

scy, z wyjątkiem właściciela), w krótkim czasie poznajomili się z podupadłą rodziną. Ubodzy potrzebują się wzajemnie i muszą się znosić. To po ogień, to po klucz od piwnicy, to po napisanie czego, to po poradę w kłopotcie, to z ploteczką, przychodziły nieraz rzemieślniczki lub właścicielki drobnych sklepików do pani Strzemskiej; ona też często ich potrzebowała, bądź aby kupić u nich jaką drobnotkę, bądź wywieźć się o taniem nabyciu wiktuałów, lub wyrobu rzemieślniczego. Pani Strzemska nigdy nie była dumną ani prózną, a w obecnym swém położeniu tém mniej była skłonna do okazywania wyższości. Rozumie się że stosunki te nigdy nie przechodziły w poufałość: przewaga inteligencji pozostała, a opadła tylko baryera która ją zwykle otacza, — bogactwo.

Piętrem wyżej nad Strzemskimi, zajmował takiż sam lokal młody człowiek, nazwiskiem Jan Bieniak, z profesji podmajstrzy ciesielski. Jego to przyjściem straszyla Jadwisia swoją siostrę, a że spotkamy się z nim nieraz w ciągu tego opowiadania, nie od rzeczy będzie przedstawić go czytelnikom.

Jan Bieniak, skończywszy trzy klasy którejsz powiatowej szkoły, wstąpił na naukę do twardego ciesielskiego rzemiosła. Przebył pierwszą trudną praktykę, a jako zdolny i rzeźki pracownik, jako wyższa inteligencya między współtowarzyszami, zasłużył sobie na opiekę majstra u którego terminował. Pan Puchalski tak polubił dziarskiego chłopca, iż nie szczędził własnego mocołu, aby go obeznać z rysunkiem i elementarnymi zasadami budownictwa, a dorastającemu młodzieńcowi, wyzwolonemu już na czeladnika, doradził i ułatwił wędrowkę za granicę, dla ostatecznego wykształcenia się w ciesielskim zawodzie. Spieniężywszy szczupłą pozostałość po ojcu, także cieśli, lecz ubogim, Bieniak nie ograniczył się na zwykłej wędrowce czeladniczej, ale w wielkich ogniskach przemysłu zagranicznego roztropnie wybierał znakomitsze zakłady, pracował w nich pilnie, a tu i owdzie uczęszczał gorliwie na kursa rzemieślnicze, lub do szkół rysunkowych specjalnych. Powrócił też do kraju z obfitym plonem nauki; nie został jednak zaraz majstrzem na własną rękę, bo podróż wyczerpała wszystkie jego fundusze. Pracował więc jako podmajstrzy przy dawnym swoim protektorze, powoli zbierając sumkę potrzebną na założenie własnego warsztatu.

Pan Jan był dzielny i zacnym chłopcem; urosł własną pracą, bo na stu ledwie jeden skorzystałby tak z okoliczności jakie mu się zdarzyły; ale obok wielkich przymiotów, miał i znaczne wady. Wrodzona zdolność i nabyta znajomość rzemiosła, o wiele większa od téj jaką posiadał tłum jego rówieśników, wprawiły go w niepohamowaną pychę. Zdawało mu się że posiadał wszystkie rozumy, że jest najznakomitszym znawcą najzakomitszego na świecie zawodu ciesielskiego. Hulackich zabaw towarzyszeń swoich nie podzielał, szlachetniejszych rozrywek nie znał; ztąd nabrał pewnej suchości i szorstkości obejścia. Samotny, bez rodziny, bez przyjaciół, między rówieśnikami pracował z żelazną wytrwałością, a wieczorami roił ambitne plany dojścia do majątku i znaczenia. O tém, że obok specjalnego wykształcenia, potrzebneby mu było ogólne, aby stanąć na równi ze światem do którego dążył, nie miał żadnego wyobrażenia. W swoim mniemaniu był posągiem, któremu brak było tylko piedestału... pieniędzy; nie domyślał się że gdyby nagle zdobył tę podstawę wymarzoną, zostałby nie posągiem, ale bałwanem. To ostatnie niebezpieczeństwo było blizkie, gdyż istotnie nie miał już teraz przeszkód do zrobienia majątku.

Wprowadzenie się Strzemskich do domu przy ulicy Piwniej, nadało nowy a niespodziany kierunek myślowi pana Jana: nieborak zakochał się szalenie, po raz pierwszy w życiu. Wytworna, mimo prostoty odzieży, szlachetna, pełna godności postać Ewy, silnie podzielała na ten umysł surowy, nieokrzesany, trawiony gorączką pychy. Gdyby ją napotkał w jednym z mieszczańskich salonów, do których miał czasem wstęp jako zdolny rzemieślnik, gdyby ją widział w jedwabiach, poczulby może zawiść, może tylko upokorzenie; ale tu, na brudnych schodach domu przy ulicy Piwniej, w wyszarzanój sukience, w ubiorze lichszym od wielu córek rzemieślniczych, które mu się spotykać zdarzyło, tu żadne gorzkie

uczucie nie stało się rodzącą się namiętnością na zawadzie.

Przy tém wszystkim pan Jan miał serce szlachetne. Dowiedziawszy się w głównych zarysach o nieszczęśliwych dziejach rodziny Strzemskich, dostrzegłszy smutny jej stan i godne znoszenie przeciwności i niedostatku, poczuł głęboki szacunek, cześć prawdziwą dla hartu duszy, podobnego temu, jakim sam celował. Zdrowy rozsądek ukazywał mu wprawdzie niezmierną różnicę wychowania i pochodzenia; ale zagłuszały go zarozumienie i namiętność, a ośmielał niedostatek biędnej wdowy, graniczący z nędzą.

Z początku starał się tylko spotykać Ewę na schodach, lub przed domem, wracającą z lekcji; potem wszedł do mieszkania Strzemskich raz i drugi, pod zamówką jakiegoś interesu. Podjął się w imieniu gospodarza załatwić jakieś sprawy administracyjne; nastreczył do posługi kobietę, która mu oddawna pokój uprzętała, bo biędni Strzemscy nie mogli teraz utrzymywać własnej służącej; ofiarował korzystne nabycie na opał wiórow z fabryki ciesielskiej, podreparował drzwi, przez które zima wdzierała się do ubożego mieszkania, a o których naprawie nie chciał słyszeć skąpy właściciel; wynajdywał jak mógł usługi, których nie przyjmowano, jeżeli zdaleko się posuwały, ale które niemniej dostarczyły mu okazji do znajomości z nowymi lokatorkami i obudziły ich wdzięczność. Po niejakiem więc czasie Bienia mógł zjawiać się na wieczorną gawędę, bez żadnej już zamówki.

Pani Strzemska nie przeniknęła tajnych marzeń rzemieślnika. Ewa przecuciem niewieściem dostrzegła, że jest przedmiotem czci jego, ale niewiele na ten objaw uczucia zwracała uwagi. Sądziła, i nie bez zasady, że Jan, po bliższym rozpatrzeniu się w stosunku, ujrzy omyłkę swojego serca czy głowy i uzna niemożebność miłości w dwóch tak różnych organizacjach. Jadwinia, z bystrością dziecka chwytającego śmieśności starszych, dostrzegła także pretensyi Bieniaka, lecz widziała w całej tej sprawie tylko śmieśność, dobrą na te smutne czasy.

Zaledwo kwadrans upłynął od przytoczonej wyżej rozmowy, gdy pan Jan wszedł do pokoju, starannie ubrany, choć z pewnym odcieniem staromiejskiej elegancji, uklonił się zamaszycie, z donośnym: dobry wieczór paniom! i postąpił do stolika, z którego Jadwinia zaledwie zdążyła sprzątnąć bochenek chleba, słysząc zbliżające się po schodach kroki; samowar szumił jeszcze w kąciku.

— Dobry wieczór, panie sąsiedzie, rzekła Strzemska, proszę siadać.

Pan sąsiad, był to dwudziestokilkolletni młodzieniec, wysoki, barczysty, trochę niezgrabny i nieśmiały w poruszeniach. Zdawało się że dlatego tak oględnie brał za krzesło, żeby go przypadkiem nie złamał swoją żylastą ręką; dlatego tak ostrożnie siadał, żeby go nie zgniół. Twarz opalona, koścista, wyrażała silną determinacją i pewną surowość: można go było porównać do ascety, żyjącego tylko wewnętrznym życiem, chociaż Bienia wiódł żywot bardzo czynny. Głos miał twardy, ucinkowy, nawet wtenczas, gdy chciał być uprzejmy, co w obejściu ze Strzemskimi zawsze miało miejsce; głos ten tak się nadawał do komplementów, jak szorstka ręka Bieniaka do głaskania. Charakterystyczną cechą tej postaci była niezłomna powaga. Żartu nie rozumiał: najdrobniejszą, najpospolitszą rzecz brał ze stanowiska poważnego i sądził w ostatniej instancji. Co nie zasługiwało na najwyższe uwielbienie, to w oczach jego godne było bezwzględnej pogardy, zatracenia.

Oczywiście że w takim usposobieniu daru konwersacji zupełnie pan Jan nie posiadał, a brak ten pierwszy raz w życiu uczuć mu się dawał. Wizyty jakie składał swoim nowym sąsiadkom, były rodzajem tortur, na które się dobrowolnie skazywał. Siedział sztywno na krześle, pociągając rękami po kolanach, rzucał błędnym wzrokiem po ścianach, szarpał i skręcał w palcach końce tużurki i w poście czoła odpowiadał na zapytania pani Strzemskiej, która miłosiernie starała się go wyprowadzać z kłopotu.

Szczęściem tematu do rozmowy nigdy kobietom nie brakło: rozpytywały się go o różne szczegóły jego zatrudnienia, o dzieje pobytu jego w fabrykach

zagranicznych, o plany na przyszłość, tak iż Janowi zdawało się czasami, że jest wymownym i zajmującym. Nieszczęściem częste były także rozczarowania, gdy spostrzegł iż się źle wyraża, lub gdy mu zabrakło wątku do rozmowy.

Dzisiejszego wieczoru właśnie rozmowa się urywała. Kobiety były milczące, roztargnione, pan Jan zaambarasowany. Od kwadrans szukał w myśli materiału choć na jeden frazes, i nic, zupełnie nic nie mógł wynaleźć. Czasami szeroką ręką pocięła czoło tak silnie, jakby je chciał zgnieść, poczem przerażony podniesieniem ręki do takiej wysokości, chował ją prędko pod stół i tam szarpał końce tużurki, w najwyższym stopniu niekontent z pomysłu wizyty, a jednak nie śmiąc wstać i pożegnać towarzystwa.

Szczęśliwy traf wyprowadził go z kłopotu. Spojrzał na Miccia siedzącego po jego prawej stronie i rysującego jakiś niezgrabny domek na wydartej z zeszytu kartce. Pan Jan znał się nieco na rysunku.

— O, panie Mieczysławie, a toć to dom pochyły, przewala się na bok; okna większe niż drzwi, na dachu komin jak przyklejony. Dajno pan ołówek.

Micio aż podskoczył z radości. W ciągu kilkunastu minut miał zgrabny, prosto stojący domek, z całym rzędem równych okien, z filarami, gzymsami, gankiem, balkonem i ogrodem, pełnym drzew rozłożystych. Dalej szedł strzelec z psem przy nodze, zając uciekał przez zagony, krówki się pasły na stronie, słowem pomysłem nie było końca. Miccio ciągle żądał jeszcze czegoś.

Jadwinia przyglądała się ciekawie, spojrzęły i starsze kobiety, a pan Jan cieszył się że wyszedł szczęśliwie z trudnego obowiązku konwersacji, a nadto już w myśli kombinował na przyszłość łatwy wstęp wieczorny, pod pozorem uczenia Miccia.

Rysowanie zajęło spory kawał wieczoru, lecz na nieszczęście nie mogło wypełnić całego. Na stole przed Ewą leżała książka. Jan, pragnący choć kilka słów zamienić z przedmiotem swego uwielbienia, a biędzący się ciągle nad materyą do rozmowy, uległ pokusie i odwinąwszy okładkę, spojrzęł na tytuł. Były to pieśni Franciszka Karpińskiego.

— Zna pan to? zapytała Ewa.

— Nie, pani, rzekł Jan, ja wiérzy nie czytuję.

— No, ale Karpińskiego w szkołach musiały pan się uczyć, zawołała Jadwinia.

Wspomnienie szkół wywołało rumieniec na lica młodego cieśli.

— Tak, w szkołach uczyłem się deklamacyi, ale to już wyszło z głowy, a teraz wiérzy nie czytuję. Może to dobre dla tych co nic nie mają do roboty, ale człowiek nie ma czasu na takie zabawki; trzeba pracować na chleb.

— I żadnych wiérzy pan nie umie? zapytała ze zdumieniem Jadwinia, mogąca deklamować po kilka godzin bez przerwy.

— Żadnych, rzekł Jan stanowczo, chcąc sobie choć zasługę oryginalności utrzymać.

— Kilka chyba pan umiesz. Nigdyż nie śpiewałeś sobie: *Kiedy ranne wstają zorze*, lub za procesyą: *Róbcie mu miejsce, Pan idzie z nieba*?

— Tak, te i inne pobożne umiem, to co innego.

— Widzisz pan, rzekła Ewa, właśnie to Karpiński pisał takie śliczne pieśni pobożne. A jego świeckie pieśni są równie piękne. Miło ludziom wielbić Boga, ale miło i inne uczucia, wypowiadać wiérzem. Czas to nie stracony na takie czytanie; dobrze-bo na chleb pracować, ale nie samym chlebem żyje człowiek.

Tak mówiła Ewa, a Jan słuchał pomieszany, zawstydzony.

— Czyż to na przykład nie sprawia rozkoszy, mówiła dalej, gdy możemy choć chwilkę na dzień, choć chwilkę w tygodniu, odetchnąć od trosk o chleb powszedni i podumać z poetą o rzeczach wyższych, o tém co nietylko nas, ale każdego człowieka obchodzić musi, przypomnieć sobie, że ten chleb, którego zdobycie tyle nam czasem męczarni sprawia, jest tylko warunkiem, podstawą, na której dopiero żyć można i należy życiem wyższem, przyjemniejszem i godniejszym, bo duchowem? Posłuchaj pan jak to rozumie poeta.

Tu Ewa szybko przerzuciła karty książki i głosem płynnym, dźwięcznym przeczytała znany wiérz

Do Mądrości. Wiérz ten ma tę niepoślednią zaletę, że myśl filozoficzną wypowiada w najwyższym stopniu dydaktycznie. Jest w nim prostota, jasność, obrazowość, a szczególnie poryw uczucia, bez którego wiérz dydaktyczny staje się tylko lekcją rymowaną.

Karpiński jest rzeczywiście dla tych, którzy dopiero zapoznawać się mają z poezyą: dla dzieci i dla dorosłych jednakowo bądźli zajmującym, wdzięcznym i zrozumiałym.

Jan słuchał bacznie. Głos wymowny przykuwał jego uwagę, ale i rzecz sama z podwojoną siłą wstrząsała jego umysłem. Słuchał wylczenia wszystkiego co nie jest mądrością, a co on właśnie za mądrość uważał, i drgnął kiedy się dowiedział, że mądrość, to jest:

..... siać z nędzarzem na ubogiej ławie;
.....niedostatek cierpliwie ponosić
I nie prosić kto nie wart, ażeby go prosić.
...Żeby w domu nie czekał losu ażeby przyszedł,
Ale przeciwko niemu za granicę wyszedł;
Mając cnotę w posiłku i świadkiem niebiosy,
Kosztem Boga samego walczył z ziemi losy;
Żeby przy twoich nogach powieki zawiązał,
I nigdy nie żałował, żem żył lub umierał.

Ścisłe biorąc, nic tu tak dalece nowego nie było. Katechizm, kazanie, nauki matki, tak samo wskazywały gdzie mądrość prawdziwa. Ale pan Jan wyrósł już z nauk matki i katechizmu, a kazań słuchał czasem, ale tak jak się często słucha kazań, to jest póty, póki się jest w kościele, trochę z przymusem, trochę z ziewaniem. Teraz coś drgnęło mu w sercu, obudziło go wśród ambitnych planów, do których całą myśl wyteżył, i kazało mu przysnąć, że zapominał o prawdziwej mądrości, myśląc tylko o robieniu kariery i imponowaniu ludziom przyszłemu bogactwem.

Uderzyła go także i strona estetyczna przedmiotu, podniesiona piękną Ewy deklamacją. Jan w istocie bardzo mało znał wiérzy. W szkole słyszał tylko bajki, które on sam lub jego koledzy recytowali, a które mu już dawno wyszły z głowy. W późniejszych czasach przysłuchiwał się niekiedy jakiej rubasznój, pijackiej, lub miłosnej piosence po gospodach; na *singvereinach* za granicą, tegoż samego rodzaju płaskie kompozycje napotykał, a gardząc w duszy próżniakami przesiadującymi po gospodach, zienawidził wszystkie piosenki i wiérze.

Teraz, olśniony i wstrząśnięty, milczał czas jakiś, a myśli tłumnie cisnęły mu się do głowy. Spostrzegł jak wiele mu brakuje, jak wiele brakować mu będzie, choć tysiące zarobi na swoim majsterstwie. Przepaść oddzielała go od Ewy, jakkolwiek stojącej na krańcu ubóstwa i nędzy. Na cóż mu się zdało zdobycie wstępu do tego domu, kiedy nie było czem zjednać sobie umysłu, o wiele wyższego od niego?

— Bardzo to piękne, bardzo piękne, rzekła Strzemska. Tak, to mądrość. *Tenci znakomity, kto serca przeciwego chlubi się zaszczyty*. A panu Janowi czy się to podobało?

— O, pani, nadzwyczajnie! Widzę że byłem w błędzie gardząc wiérzami. Gdyby mi pani pozwoiliła tej książki, jabym sobie zaraz dziś odpisał ten wiérz, a jutro rano oddałbym książkę.

— Owszem, weź pan na dłużej, przeczytaj więcej, rzekła Ewa.

Jan uradowany przyjął ofiarę z wdzięcznością i niezadługo, mierząc po trzy schody na krok, stanął w swojej samotnej izdebce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BIAŁY GOŁĄB.

(LEGENDA).

W Sudanie, ziemi czarnych ludzi i ciemnoty,
W skwar południa, nad brzegiem Senegalu, w trzcinie,
Chrześcijańskie pachole kwiaty lilii złotój
Rwało, by rankiem ponieść je w świętej daninie
Temu, co zmarł dla ludzi na szczycie Golgoty.

Nagle sercem chłopięcia wstrząsł grom strasznej [trwogi,
Bo w zielonej gęstwinie zabłysnął dokoła,
Wracający z grabieży, tłum Fullahów mnogi.
W rozpaczę więc wznosił prośbę do swego anioła,
By ochronił go skrzydłem od dzicy złowrogięj.

Ale jeden z Fullahów wywlókł go za włosy
I rzucił do nóg wodza, który z wściekłym gniewem
Zawołał: „Psie wylekły, wybieraj dwa losy:
Zaprzyj się swego Boga, albo pod tym drzewem
Spadną na cię z kapłana ręki śmierci ciosy.“

Lecz dziecię wzniosło w niebo oczy i ze łzami
Jęknęło: „Ja nie zaprę się swojego Boga,
Bo on jest wszechmiłością, on Pan nad panami.“
„A gdzież, ryknął wódz na to, jest do niego droga?
Gdzież on żyje? pod ziemią, czy tam zagwiazdami?“

„Mój Bóg, jasny zachwytem rzekł wyznawca śmiały,
Od świętej chrztu godziny tu w mój piersi żyje!“
I gdy na rozkaz wodza rzucił się tłum cały
Na pacholeg zwieńczone w święcone lilje,
Z serca mu, z krwią na skrzydłach, wybiegł... gołąb
biały.

Miron.

Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

(Dalszy ciąg).

Ścieżka nasza mozolnie przewija się pomiędzy zasłanymi głazami; wielokrotnie się wspina i znowu zapada i prawie znika z przed oczu; zdaje się że już nas opuściła, lub naumyślnie naprowadziła na samą krawędź przepaścistej debry. Z boków żłobu sterczą odrywające się skały, których spłowiałe skronie skarłowaciała wieńczy smereczyna. Mozolnie chwytają się korzonkami wytrwale roślinki martwego głazu i w ciasne wciskają się szczeliny, by w nieczułego trupa wlać odrobinę życia. Na dnie parowu bieli się piana wartkiego potoku i tu dopiero bujna roślinność rozwija się w najlepsze. Wszędzie bowiem, gdzie choćby najmniejsza cząsteczka czarnoziemu miesza się z grubym żwirem otłuczonych granitów, najobficiej rozrastają się gatunki zrosłogłówek (Compositae) i baldaszkowatych (Umbelliferae). Na rozłożystych liściach czerniaku (*Adenostyles albigrons*) błyszczą prześliczna szafirowa stonka (*Oreina Senecionis*) i inna nieco ciemniejsza, o pomarszczonych pokrywach (*O. intricata*). Po żółtych kwiatach starca (*Senecio Fuchsii*) lub na jego listkach kryje się trzecia nader rzadka tatrzańska stonka (*Oreina Dzieduszyckii* mihi), całkiem czerwona i łatwa do poznania po czarnym pasie wzdłuż szwu, niedosięgającym ani nasady, ani kończyny pokryw. Rój much (*Diptera*) i błonkówek (*Hymenoptera*) uwijał się rąco ponad tym ogródkiem w smutnej dzicy zakwitłym. Ież tu życia, ile ruchu, a tak swobodnego jak rzadko gdzieindziej!

Niespostrzeżenie wstąpiliśmy w krainę rozłożystego kosodrzewu. Już nikną ostatnie skarłowaciałe smereki przed wytrwałym położystym krzewem, co ciemno-zieloną wstęgą opasuje biodra wspaniałych olbrzymów. Gdzieniedzie tylko sterczy uschnięty i suto omszony świerk ponad bujną zielenią kosodrzewu, sterczy, jako niemy świadek dzikięj, nieubłaganej przyrody, jako słup graniczny, dzielący państwo dorodnych swych braci od krainy karłów, co śmiało wdzierają się na wyniosłe turnie. „Co to tam hań za drzewo? Wszak to nie smerek?“ „Dyc to limba,“ odrzekł Wala, „najdziksze drzewo!“ „To limba zabłąkała się między kosodrzew?“ „Oj nie zabłąkała się ona, nizej ją już barz trudno obaczyć.“ Więc tu jęj ojczyzna, ztąd ona spoziéra, jak władczyni-matka na dziatwę u stóp jęj korzącą się; to królowa krainy kosodrzewu.

Dolina się ścieśnia, naokoło nas coraz bardziej olbrzymieją dziko wystrzelone turnie, co bezkształtne w dziwaczne łamie się postacie. Wszędzie szare, poczerniałe granity, w twarde płaszcz suchych porostów odziane, co usiłują z głazu nowe wywołać życie.

„Którędy do Pięciu Stawów?“ „Popod Kolbach, kany są te piorgi, odrzekł przewodnik, wskazując ku zachodnio-północnemu kątowni doliny; ztąd jeszcze dobrą godzinę trzeba się tam wspinać.“ Zaledwieśmy uwierzyli słowom doświadczonego górala, mniemając na pierwszy rzut oka, że w niespełna ćwierć godziny zobaczymy szmaragdowe zwierciadła milczących jezior, naokoło których bieleją się porozrzucone płyty wiecznych śniegów. Ale cóż to za wstęga srebrzysta wije się po granitowej ścianie? To sikława z Pięciu Stawów łomnickich! Prześliczny widok! Z ogromnej, więcej może niż stoszuniowej wysokości, spływa miejscami w kilkoro rozdzierzgniona wstęga bielsza od najbielszego śniegu, cudownie odbijając od zczerniałego granitu. Perłowe kropelki rozbitęj piany igrają wciąż ponad wirem, w którym się sikława z hukiem nurza. O jak pięknym pasem sprzęga swe biodra wspaniała Łomnica!

Pod nami naokoło dzikie granitów morze, w nieruchomości swojej zdaje się że od wieków zakłęte. Bryły przeróżnego rozmiaru i kształtu, dochodzące czasem wielkości domów, zawalają tu dno doliny przy spodzie; zdaje się że się uwzięły zadławić srebrny potok, co zgrabnie i zwinnie przewija się śmiało pomiędzy zawstydzonymi głazami.

Lecz dalej naprzód, bo już mgły zaczynają się ruszać! Więc po krótkim wypoczynku chyżo dopędzam przewodnika, przeskakującego śmiało ruchome piorgi. Oko górala wiernie towarzyszy wymierzonym bezwiednie prawie skokom. Ważność oka tu dopiero się okazuje, gdy tymczasem na równiach mało na to baczmy. Tu gdzie każdy prawie skok niepewny, trzeba „okiem chodzić,“ jak się bardzo właściwie góral wyraża.

Głośnie okrzyki, w silnych powtarzające się echach, dolatują nas tuż z bliska; czy z dołu, czy z góry, trudno było dla zwodniczego odbicia rozpoznać odrazu. Prawidłem atoli jest górala nie zwracać ucha tam, zkad głos dochodzi, lecz piérwój ku przeciwnęj stronie. Nasi przewodnicy utkwili wzrok sokoli między turnie, kędyśmy wydrapywać się mieli. Wtém zawołał ucieszony Janusz, wskazując na cztery w granitach poruszające się plamki: „Są to trzej panowie, których miałem prowadzić na Łomnicę, a czwarty to ich przewodnik!“ O to dobrze, pomyśleliśmy sobie; będzie nam weselój w liczniejszym towarzystwie; śpieszmy coprędzej, by ich rychło dognać.

Zaiste, w odludnych pustyniach najżywięj odzywa się wrodzona człowiekowi żądza towarzystwa, żądza którą ascetyzm, choćby i najostrzejszy, przytłumić tylko, ale nie wykorzenić zdoła. Żądza ta, jedna z najpotężniejszych, staje się najsilniejszym ogniwem, które spajało już najpierwotniejsze społeczeństwa ludzkie ku dopięciu wspólnych celów. Prędjiej gdzieindziej, ale w Tatrach być odludkiem, jest wręcz niepodobnym, jak i niepodobnym jest opieranie się jednostki na własnych siłach, wobec olbrzymich potęg przyrody. Ta myśl prze popędowo serce człowieka do szukania serc bliźnich, toż samo czujących. Dlatego też stała się nam bardzo pożądaną chwila znalezienia się w liczniejszym gronie, a choć nasi towarzysze z innego byli świata, bo z naddunajskich nizin, to przecież czule pozdrowienie i tenże sam cel wycieczki w miłe, harmonijne połączyły nas kółko. Prawdziwie to nasze przysłówie, stosujące się tak pięknie do obecnej chwili: Góra się z górą nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem, z tą jednak różnicą, służącą do tém silniejszego jeszcze poparcia pomienionego zdania, że tutaj i góry z sobą się zeszyły.

Przed miejscem, zwanem przez Janusza próbą, wyczęliśmy trochę pod małą zwieszającą się turniczką. Potem łacniej mogliśmy spróbować sił naszych w tój piérwszej trudniejszej przepawie, której przebycie zapewniało nas o bezpiecznym osiągnięciu naszego zbyt jeszcze odległego celu. Była właśnie ósma godzina; jeszcze trzy godziny, według upewnien Janusza, a będziemy na szczycie. Naprzeciw nas widać już Łomnicą przełącz, łączącą Łomnicę z jęj

grzebieniem; zdaje się ona tuż przed nami, że jak to mówią, tylko ręką sięgnąć, a ona tak daleko! Jużemy się nawet oburącz i obunóz wydrapali z ciasnej próby, ze stromo zwartego żlebu, a gdzie jeszcze wierch Łomnicy!

Tu już ostatnie nikną kosodrzewu krzewy, nastaje naga kraina grzbietów (hal wyższych), kraina najdziksza, a oraz najpowabniejsza śmiało piętrzących się turni. Tam ruchliwe piorgi zapełniają ciasno zwarte żleby, tu strome skały groźnie zwiesiły lby rozszarpane ponad niemą przepaścią, a między nimi i w koło nich najbujniejsza halna roślinność obchodzi dzień weselny. W nanoszonym po upłazkach żwirze granitowym gromadnie rozrastają się rośliny alpejskie, o strojnem, wielkiem kwieciu, co tak mile odbija od pęsepnych turni; prawdziwe oazy, przymilające się ukraszoną zielenią oku błądzącemu długo po granitach bez końca. W owych kwiecistych ogródkach żyje jeszcze wielka ilość owadów; najwięcej płacze się much i chrząszczów. Ze szczypic wodzi tutaj rej czarniawo-zielona, a im wyżej w górę, tém więcej brunatniejsza szczylica lodowa (*Carabus glacialis*), czarny płaski szykosz (*Pterostichus maurus*) o wiele odeń mniejszy szykosz (*Pt. blandulus*), cisawy lesz (*Nebria tatrlica*) i zwodniczo do niego podobny, ale ciemniejszy i nie tak smukły ryściak (*Patrobis tatrlicus*); pod kamieniami tuli się smętna, baryłkowata stonka (*Chrisomela islandica*), brudny, leniwy plug (*Aphodius discus*); rąco uwijają się maluczkie niestrudki (*Bembidium glacialis* i *bipunctatum*), a z drobnych kusaków (*Staphylinidae*) zawadzi czasem małeńki gładza (*Homalota tibialis*) i t. p.

Z motyli bują tu jeszcze uprzykrzone w ogrodach warzywnych bielinki, jako to kapustnik, rzepnik i bytomkowiec (*Pieris brassicae, rapae, napi*); wszędzie się też włóczy rusa pokrzywnik (*Vanessa urticae*), a z gatunków halnych nadobna gorówka (*Erebia Manto*) roztacza na kwiecie bronzowe swe skrzydełka o czarnych kropkach. Gdzieniedzie zdarzają się odkryte przez prof. N. drobne motylki (*Microlepidoptera*), a mianowicie orzechowy i czarnoznaczony skośnik (*Gelechia Dzieduszyckii*), blade siarkowa i ochrowem znamieniem literę V przypominającym odszczególniona ziewonia (*Penthina Żebrowskii*), oliwkowy i srebrem przy brzegu skrzydeł centkowany litek (*Glyphopteryx Pietruskii*). Prócz wymienionych, żyją tu jeszcze z prądkówek kratkowana żółtawa puchatka, o srebrnym greckim γ (*Plusia gamma*); z mierników brunatny z żółtawym połyskiem żarmutek (*Psodos horridata*), żarmutek czarny z pomarańczową przepaską (*Ps. alpinata*), i czarnobrunatny, z dwiema ciemnymi prążkami na skrzydełkach górnych i z żółtą opaską na skrzydłach dolnych (*Ps. haonaria*), dalej pomrok (*Gnophos operaria*), szaty popielatęj, którego małżonka, pozbawiona skrzydeł, a zatem i możności lotu, biedaczka glebae adscripta est; z omacnicówek szara lśnica, o białej plamie na skrzydłach górnych i o białej osadzie na dolnych (*Botys monticolalis*), misterek szary o plamie nerkowatęj, złożonęj z dwu obrączek (*Eudorea sudetica*); ze zwójkówek brunatna piśmica, zdobna kilku ołowianami kręskami (*Grapholitha mercuriana*); z mowców żółciuchny tokolik, o zawieszistych, prawdziwie madziarskich wąsach (*Nemophora pilella*), a ostatek cudnej piękności skrzydliniak fioletowo-purpurowy, o trzech srebrnych, złoto obrzeżonych przepaseczkach.

Tu jest także ojczyzna zwinnęj kozicy (*Antilope rupicapra*) i lubyh świstaków (*Arctomys marmota*), których jedyną dziedziną są owe prześliczne kwieciste upłazki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O PODANIACH I KLECHDACH LUDU Z OKOLIC WARSZAWY.

Przez Mściława Kamińskiego.

(Dokończenie)

Do kategorii demonicznych klechdowych postaci, należy i tajemniczy koń, o którym następną slysze- liśmy powiastkę:

„Pewien włościanin dostrzegł raz na łące cudnego konia ze złotymi cuglami, których gdy nie mógł zdjąć, urwał kawałek, zawiązał w połę, i sądząc że wielkie zdobył skarby, szybko pośpieszył do domu. Jakże się jednak zdumiał, gdy zamiast złotych cugli, znalazł kawałek własnego kozucha! Że jednak był trzeźwy, a konia ze złotymi cuglami widział i dotykał własnymi rękami, niedziw więc iż poszedłszy do głowy po rozum, w koniu upatrzył moc szatańską, w przemianie złota na kozuch, figiel nieprzyjaciela rodu ludzkiego. Nic mu innego nie pozostawało, jak pójść do spowiedzi i zasięgnąć rady kapłana, jak ma w tym wypadku postąpić. Ksiądz powiedział mu, że jeżeli chce sobie przywłaszczyć tajemniczego rumaka, powinien mu zarzucić na szyję rzemyk którym się zwykle opasuje, a koń pójdzie za nim jak baranek. „Tylko, dodał kapłan, raz zło wiwszy konia, nie zdejmuj rzemyka, bo koń zniknie jak kamfora.“ Jak powiedział, tak się stało. Koń przeszedł na własność szczęśliwego gospodarza, który jednak połakomił się na złoto i sprzedał go Żydom za sto rubli. Ale i ci niewiele z cudnego konia skorzystali, bo gdy nic nie chciał jeść przez kilka dni i nocy, po długich naradach osadzili, że złe mieści się w owym rzemyku zawieszonym na szyi. Zdjęli go więc; ale koń tego tylko czekał, bo wierzgnął, kopnął, skrami prysnął i znikł w tumanach kurzu i dymu.

Najsympatyczniejszą bohaterką powieści ludowych jest „siórotka.“ Zarówno w pieśniach, jak klechdach i podaniach, występuje ona otoczona najwyższą czcią i współczuciem; prześladowana i dręczona przez macochę, zapomniana przez własnego ojca, wzgardzona przez swe siostry przyrodnie, w chwili gdy już ma upaść i zginąć, znajduje anioła opiekuńczego, który wyzwala ją z tej niedoli, wracając jej miłość ojcowską, szczęście na świecie i poważanie u ludzi. Anioł ten wszelako nie ukazuje się we własnej postaci, nie czyni widomych cudów, tylko niewidzialna ręka jego płacze zamiary nieprzyjaciół siórotki, wspiera ją swą potęgą i wyprowadza zwycięsko z ciężkich prób, na jakie była narażona. Jak we wszystkich powieściowych twórcach ludowej wyobraźni, tak i w klechdach o siórotce przemaga żywioł cudowności. Nie odbiera to im jednak bynajmniej ani owego cudnego uroku, ani pierwotnej prostoty, które tak misternie znajdujemy zespolone w większej części ludowych utworów. Na usprawiedliwienie powyższego sądu, moglibyśmy opowiedzieć parę klechd, któreśmy słyszeli w okolicach Warszawy; zważywszy jednak, że warianty tych klechd albo powszechnie są znane, albo też były drukami ogłoszone, przestaniemy na przytoczeniu mniej znanej.

„Kasia nie miała matki. Ojciec kochał ją wprawdzie, ale na starość zrobił głupstwo, bo się ożenił z wdową, mającą córkę tychże samych lat co Kasia. Odtąd Kasia uczuła się prawdziwą siórotką. Ojciec, zupełnie zawojowany przez żonę, obojętnie patrzył na znęcanie się tej ostatniej nad jego ukochanym niedgdy dziećciem, i nie tylko bił ją i morzył głodem, ale nawet nie śmiał stawić oporu, gdy wściekła macocha, pragnąc się ostatecznie pozbyć swęj pasierbicy, zamknęła ją na noc w pustym domu, gdzie coś *przeszkadzało*. Mniemała że zły duch porwie nieszczęśliwą i oswoodzi tym sposobem jej córkę od niebezpiecznej rywalki, z którą ani wdziękami ciała, ani przymiotami duszy mierzyć się nie mogła. Słaby i niedołężny ojciec tyle tylko wymógł, że macocha pozwoliła Kasi zabrać z sobą kądzieli i czterech drzazgi na ogień. Już biedna siórotka wyprzedła do połowy kądzieli, już dziesięć razy powtórzyła wszystkie modlitwy, jakich ją matka nauczyła, a co najgorsza, już ogień zaczął dogasać, gdy coś w kominie zahucztało, zaszeleściło, i diabeł, wysunawszy łeb z czeluści, rzekł słodkim głosem: „Ej, dziewczyńko, a nie poszłabyś ze mną w taniec?“ „Gdzie mi myśleć o tańcu, odpowiada Kasia, kiedym kądzieli jeszcze nie skończyła.“ „Daj mi ją tylko, rzekł szatan, a natychmiast wyprzedę.“ Gdy rzeczywiście wykonał to co zamierzył i znowu do tańca namawiał, Kasia odparła iż nie może tańcować, bo trzewików nie ma. Ale i trzewiki przyniesiono. Potem powtórzyły się te

same sceny z pończochami, sukniemi, drewnkami na ogień, sprzętami, jadłem i napojami; nakoniec kazała mu przyprowadzić parę krów, konia, przynieść obroku i t. d. Gdy wreszcie stało się wszystko podług jej woli i diabeł całą chatę najrozmaitszymi sprzętami zappełnił, przemysłna Kasia kazała mu przetakiem wodę nosić. Biedne diablisko tak zapragnęło tańcować z piękną dziewczyną, że nie cofnęło się i przed pracą Danaid. I kto wie czyby z tej próby nie wyszedł zwycięsko, gdyby nie pocziwy kur, co w tej chwili zapiął, udaremniając całą pracę szatana i zmuszając go do najspiesniejszej ucieczki. Ocalona w tak cudowny sposób Kasia, widząc się nadto właścicielką tylu rzeczy, o których się jej nigdy ani śniło, gorąco westchnęła do Boga i padłszy zmęczona na łożo, głębokim snem usnęła. Wielki już był dzień, gdy ojciec, trapiiony srogimi wyrzutami sumienia, że przez swe niegodne pobłażanie stał się może dziecibójcą, zbliża się do pustego domu i z trwogą przez okno zagląda. To co ujrzął, wydało się mu sennym widzeniem, i dopiero opowiadanie przebudzonej córki przekonało go o błogiej rzeczywistości. Pojednaną z nią, zaprzysięga Kasi wieki miłość ojcowską i przyrzeka nie podlegać odtąd wyrodnej swęj żonie. Ta ostatnia, gdy się dowiedziała o przygodzie Kasi, widząc że jej poradzić nie zdoła, postanawia przynajmniej oszukać głupiego czarta i w tymże samym pustym domu zamyka swoją ukochaną córkę. Ale czy to że tej ostatniej zabrakło pomysłu, czy też że diabeł jeszcze natarczywiej zapraszał ją w płasy, dość że nazajutrz, zamiast skarbów i szat kosztownych, znaleziono przyrodnią siostrę Kasi z głową ukreconą.“

Niemniej tklive są powieści ludowe o miłości macierzyńskiej. W pojęciu ludu wszelkie miłości gasną, w porównaniu z największą miłością matki dla swego dziećcia. W jednej z klechd, których zbiór mamy przed sobą, zamordowana zdradziecko matka nawet po śmierci nie zapomina o swoim dziecku, a przybrawszy ludzkie kształty, wślizguje się przez przymknięte okno i własną piersią żywi siórotę. Jestże co nad ten pomysł rzewniejszego?

Warianty tej klechdy znajdują się w zbiorach naszych etnografów, a między innymi w *Klechdach p. Wójcickiego*, nie podajemy jej więc w całości, lecz tylko uważamy za stosowne przytoczyć dwuwersz, którym nieszczęśliwa matka stara się skruszyć serce kucharza, niechającego jej okna otworzyć. Jest on zupełnie inny od tych, co się znajdują w pomienionych wyżej zbiorach. Brzmi tak:

„Kucharzu, szafarzu, otwórz okieneczko,
Niech nakarmię dziećciateczko.“

W bajkach ludowych prawie niezmiennym jest prawidłem, że koniec musi być dobrym. To też i tu, pomimo najsmutniejszego nastroju klechdy, wszystko kończy się najłepiej. Zamordowana matka jakimś cudem zostaje wskrzeszoną, a zbrodnia naturalnie odnosi zasłużoną karę. (*)

Rzecz dziwna, iż zbrodnię tę popełniła rodzona siostra, — i tym jeszcze dziwniejsza, że powiastki o siostróbójczyniach, w najrozmaitszych wariantach, krążą po całym kraju. Naprowadza to na domysł bardzo prawdopodobny, że kiedyś, może w zamierzchłych jeszcze czasach Słowiańszczyzny, popełnioną została straszna zbrodnia siostróbójstwa, którą lud, upoetyzowaną i zmodyfikowaną, wcielił w utwory swęj fantazyi i aż do naszych przechował czasów. Najpospolitszą z tych odmian jest bezsprzecznie ta, z której genialny Juliusz osnuł swą *Balladynę*. Znajduje się ona tak w *Klechdach p. Wójcickiego* (*Piszczalka*, t. II-gi), jak i w naszym zbiorze, nie bez pewnych jednak różnic. Jedno tylko uderza w naszęj klechdzie, że nie dwie, ale trzy są siostry, z których najstarsza, zniewoliwszy groźbą średnią do milczenia, zabija najmłodszą. *Fujarka* zrobiona z wier-

(*) Charakterystyczną jest rzeczą, że wszystkie niemal podania i klechdy ludowe, czy to z nad Wisły, czy z nad Niemna lub Wilii, nie wspominają prawie o innej karze śmierci, jak o rozerwaniu winowajcy przez konie.

by, pod którą morderczyni zakopała swą ofiarę wykrywa zbrodnię przez wygłoszenie czworowiersza modyfikującego się odpowiednio do osób które na nią grają. W ustach np. ojca w te słowa przebrzmiewa:

„Graj tatusiu, graj,
Głosu dobywaj,
Starsza mnie zabiła,
A młodsza bronila.“ i t. p.

A teraz nie zawadzi może powiedzieć słówko o samym ludzie, który przechował, a może i utworzył powyższe klechdy. Lecz zanim jakkolwiek sąd o nim wydamy, należy przyjąć ogólną i niewątpliwą zasadę, że lud ten, jak wszelki inny, ma swoje zalety, ma też i wady; nie jest ani gorszym, ani lepszym od jakiegobądź innego ludu. Ztąd też w pismach tego rodzaju należy przedewszystkiem zachować najściślejszą bezstronność i zarówno unikać sarkastycznych nagan, jak sielankowych pochwał, bo jedne i drugie, zamiast objaśniać, zaciemniają i gmatwają przedmiot. Z tą bezstronnością, wyznać należy, iż rzadko kiedy u nas się spotykamy. Jedni mieszają lud z błotem, radzi go wystawić jako zgraję idiotów lub bydląt, w których ani rozumu, ani uczucia wyższego nie znaleźć. Inni, przeciwnie, znając go tylko z sielanki osiemnastego wieku, rozpluwają się w słodkich dlań wyrazach i nie szczędzą komplementów dla siermiężnych Filonów, mniemając że tym sposobem wielką przysługę ludzkości wyrządzą. Pano wie ci widać zapominają, że włościanin przedewszystkiem jest człowiekiem, i jako taki winien być sądzonym...

Włościanie z okolic Warszawy coraz więcej zacierają swój oryginalny charakter. Tylko starsi gospodarze, i to nie wszyscy, zachowali dawny ubiór i stare zwyczaje; młodzież garnie się coraz więcej do surdutowiczów, zrzuca sukmanę chłopską i przeinacza się w czeladź miejską. W ogóle tradycya większe u kobiet niż u mężczyzn znajduje poparcie, lubo i pod tym względem są naturalnie liczne wyjątki. Jak się zdaje szybciej daleko zacierają się obrzędy ludowe, nikną tradycje, wychodzą z użycia przysłowia, nawet pieśni, aniżeli przesady i zabobony, które tkwią jeszcze głęboko w umyśle i pamięci ludu. Fakt ten nietrudno zresztą objaśnić: lud wiejski tylko powierzchownie przyjmuje ogładę i dlatego pozbywa się z czasem zwyczajów lub przejawów ducha, oddziaływających nazewnątrz, bo te nie mogą się pogodzić z nieprzyjaznymi wszelkiej oryginalności nowościami. Przeciwnie, zabobony żadnego nie doznają oddziaływania, wpływ cywilizacyi zniszczył w nich to tylko, co nazewnątrz zbyt wybujało, ale nie tknął dotąd najgłębszych tajników umysłu i serca włościańskiego. W tajnikach tych pozostały jeszcze pokłady prastarych guseł, które kiedy niekiedy bądź w codziennym życiu, bądź w medycynie ludowej, bądź w tłumaczeniu zjawisk przyrody się przejawiają. Ztąd lud tutejszy wyrzeka się powoli zwyczajów prastarych, ale nie przestaje być zabobonnym.

Co do moralności włościan tutejszych, gdyby nie nałóg pijaństwa, niestety bardzo upowszechniony, niewiele możnaby jej zarzucić. Złodzieje rzadko się przytrafiają, a gdy są — powszechną nienawiści bywają przedmiotem. Pracowitością zato włościanin tutejszy nie grzeszy, i radby cały ciężar pracy zwałić na kobiety. Ztąd też lichy po większej części idą drobne gospodarstwa, lubo i to prawda, że gleba tylko z trudnością trud rolnika oplaca. Zresztą jest to lud dobroduszny względem wyższych od siebie, łagodny w obyczajach, pobożny, ale nie do fanatyzmu, lubiący gawędę z przyjaciółmi, ciekawy aż do natręctwa, w karczmie hardy i szukający zaczepki, w domu grzeczny, w kościele przyzwoity, w mieście umięjący dać sobie radę, rządny oświaty i nie pogardzający rozumem książkowym.

KONIEC.